ROK II. Nr. 24 (73) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 15 czerwca 1930 r.

7 DNI

CENA 50 GR

Nakład 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



BUDOWAĆ! BUDOWAĆ! BUDOWAĆ! (fot. Paramount).



Wśród nowoczesnych budowli na peryferjach naszej stolicy pozostały stare domki-rudery.

JERZY SOSNKOWSKI, inż. arch.

„Wielka gwiazda" arch'tektury

— „Wielka Gwiazda" Architektury. — „Wielki Order" Budownictwa, — albo „Kielnia Odnowiciela" — takie powinny być ordery, odznaczenia, przyznane temu wielkiemu mężowi stanu, który spowoduje, że marzenia o „wielkim" sezonie budowlanym w Polsce nareszcie z fazy „snów o potędze" wejdą w fazę „ciała i krwi" — czyli w fazę realizacji.

Rzeczywiście. Odnowicielem, naprawdę, bez wszelkich dociągnięć i łatanin — będzie się mógł nazwać — ba! i jako taki, zostanie proklamowany wśród niezliczonych rzesz „kapłanów strychulca" człowiek, który budownictwu naszemu, tak przygnębionemu od lat, tak zapomnianemu wśród wielu, coprawda, potrzeb państwowych palących, naglących, nie cierpiących zwłoki — da wreszcie oddech swobodny, da możność rozwinięcia, dawno do lotu przygotowanych i za lotem tym tęskniących skrzydeł, kto, nareszcie, choć w jakiej-takiej części rozwiąże problem od — i rozbudowy kraju zniszczonego, zbrakowanego architektonicznie, po wojnie, czekającego na tę zbawczą dłoń i na zbawczy umysł.

— — — — — — — — — — — — —

Serce rośnie i zarazem kraje się w piersi na widok, jak budują inni. Nie przytaczam tutaj jako przykładu państw skandynawskich, które, nie dotknięte wojenną pożogą, 80% swego zarobku w te lata ogólnej klęski i rozpaczy lokowały w budowlach — jaknajrozsądniej. Nie wznosiły one bowiem gmachów reprezentacyjnych, na wielką skalę, ale pozwalały sobie na imprezy, dla nas zakrawające na bajkę, na dech zapierającą w piersiach — fantasmagorję' Ale istotnie, jakże się oni budują wspaniale! I to ciągle jeszcze! Amsterdam, którego magistrat, wydzieliwszy po X hektarów terenów, wznosi całe nowe dzielnice mieszkalne dla urzędników i robotników, z cudownym trójpodziałem: w dzielnicy *A* — stosując *ten nowoczesny* materjał budowlany, w dziel-



W Ameryce również zdarzają się wypadki, kiedy dzięki uporowi właścicieli starych domostw zostają wstrzymywane wielkie roboty budowlane



Oryginalny projekt nowożytnej architektury kościelnej, przeznaczony dla m. Berlina.

nicy *B inny*, w dzielnicy *C inny*, — wszędzie zostawiając wreszcie wolną rękę architektowi pod względem charakteru zabudowy, — z czego powstają rezultatywnie kolosalne, o fascynującym, nowoczesnym, pełnym wyrazu kompleksy, — *Stockholm* ze swym nowym ratuszem, ze swemi arcybogatemi kolonjami urzędniczemi, ze swemi dzielnicami, dźwiganemi przez gminę, przez samorządy, przez sejmiki, wreszcie przez prywatną inicjatywę, — jakaż to dla nas dziedzina pojęć, prawie nie do ogarnięcia, w gospodarczem tego wszystkiego, znaczeniu!

Cóż, oni, Skandynawi! To urodzeni architekci, to wielcy wtajemniczeni modernizmu, i ci, co mieli odwagę *pierwsi* ze swemi wierzeniami wyjść przed świat cały!

— — — — — — — —



Domki z dawnych czasów, jakie jeszcze podziwiać można w pięknie rozbudowanej stolicy Czechosłowacji.

Ale proszę, — za nimi: Niemcy, Austrjacy. Ich gminy operują niegorzej od tamtych, — i tam powstają dzielnice, będące marzeniem dla człowieka epoki, jeśli chodzi o mieszkanie' Są tą ideały mieszkań tanich, te wielkie, tanie domy, pełne powietrza, słońca, przestrzeni, to idealne namioty weeck-end'u, gdzie sen i spoczynek dają zdrowie i życie'

— — — — — — — — — — —

Czesi, to bodaj że druga po Skandynawach potęga budowlana Europy. Skrupulatność, uczciwość w podejściu do architektury, do urządzenia „tej rzeczy", gdzie całe życie przyjdzie przemieszkać, przeżyć, przebyć. Też same kompleksy, bloki, hektary, pokrywane ekonomicznemi, racjonalnemi, konkretnemi zespołami budowlanemi, odpowiadającemi ściśle psychice, potrzebom, kształtowi życia współczesnego demokraty.

— — — — — — — —

Kiedyż my wyjdziemy poza mizerniutki Żoliborz? Kiedyż my zaczniemy robotę z programem, wyraziście, zerwawszy z dotychczasowym systemem: „od wypadku do wypadku"?

Ten polityk, — nie! — ten mąż stanu, który zwiastuje społeczeństwu wielką nowinę: *zaczynamy budować!* — ten człowiek, który zrozumie potężną tęsknotę społeczeństwa, który znaczenie dźwięku kielni w polskiej dłoni odczuje w całej pełni, ten będzie nazwany współczesnym „Odnowicielem", ten zasłuży sobie na pomnik za życia, jeśli nie na placu, to na pewno we wdzięcznej pamięci ludzkiej, w ich sercach, duszach i rozumach.



Podczas objazdu swego na terytorjum województwa Warszawskiego Pan Prezydent Rzeczypospolitej był wszędzie serdecznie podejmowany przez ludność miejscową. Fotografja dokonana została podczas posiłku w domu włościańskim.

Za kulisami pokoju i wojny

II.

Tajna działalność szpiegów, jedynie wtedy daje dla państwa owocną korzyść, jeżeli zebrane wiadomości dochodzą właściwych rąk, pewnie i szybko. Jakkolwiek we wszystkich państwach europejskich istnieje i istniała przed wojną tajemnica listowa, jednakże raporty, przesyłane drogą pocztową, mogły być narażone na wstrzymanie ich wysyłki. Każdy szpieg musiał być przygotowany na to, że jego praca może być prędzej czy później zdemaskowana, a on, niepostrzeżenie dla niego, strzeżony.

Dlatego też rządy wszystkich państw, licząc się z tą ostatnią możliwością, opracowały tajne pisma, zwane szyframi.

Szyfr wtedy spełnia swoją rolę, o ile jest prosty dla swoich ludzi, łatwy do spamiętania, nie wymagający dużej pracy przy jego odcyfrowaniu, a jednocześnie dla wrogów niezrozumiały. Szyfry prócz tego winny się co jakiś czas zmieniać, przyczem różnice te, leżące nie w kompletnej zmianie systemu, ale w układzie tego samego klucza, nastręczają najwięcej trudności dla niedyskretnych.

Zagadnienie szyfru, znanego już od wieków, stało się tak poważnem, że przy wszystkich sztabach generalnych powstały specjalne oddziały, w których wykwalifikowani oficerowie układali, z jednej strony, tajne pisma dla swych szpiegów i konfidentów, z drugiej strony odcyfrowywali przechwycone szyfry ościennych państw.

Najpopularniejszym szyfrem, obecnie już nie używanym dla swej prostoty i łatwości odcyfrowania go przez niepowołanych, był sposób podstawiania innych liter na miejsce właściwych. I tak układano nowy, lepszy alfabet, gdzie np. litera o była oznaczona przez d, b—przez z i t. d. Trudny napozór do odcyfrowania list, składający się z niezrozumiałych, niemożliwych nieraz do wymówienia, że się tak można wyrazić, nieartykułowanych słów, okazał się w praktyce sztabowej całkiem jasny. Wynalezienie t. zw. klucza, oparte było na rachunku prawdopodobieństwa. Mianowicie można obliczyć, że w danym języku pewna głoska będzie się powtarzała częściej, jak inna. Po wyprowadzeniu procentowej tabeli powtarzających się liter, można było z niewielkim trudem przeczytać list szpiega; należy przytem zauważyć, że list szpiegowski z założenia jest krótki, zwięzły, dotyczący pewnych ustalonych pojęć i operujący niewielkim słownikiem wyrażeń. Wytypowanie tych niewielu słów, przy pomocy „procentowego" szyfru, umożliwiło obcym sztabom z łatwością demaskować szpiega oraz jego działalność.

Drugim rodzajem szyfru, opartym również na podstawianiu innych liter na miejscu właściwych oraz na... geometrji, jest to szyfr, podany w przykładzie pierwszym.

W kratkę, o dowolnej ilości kwadratów, wypisuje się list w rzędach poziomych, przyczem każda następna litera znajduje się w następnym kwadracie. W ten sposób wpisany list w kratkę stanowi klucz, znany wysyłającemu i odbiorcy. Z klucza tego powstaje szyfr w ten sposób, że wypisuje się kolejno litery, stojące w rzędach pionowych, łącząc je w bezładne słowa o dowolnej ilości. List w ten sposóob napisany, bez znajomości klucza, jest dość trudny do odcyfrowania. Przytem można tutaj stosować rozmaite warjanty, przestawiając porządek rzędów pionowych lub poziomych, albo jednych i drugich równocześnie, co wytwarza jeszcze większe przeszkody dla laika.

Inny rodzaj szyfru, oparty na podobnym kratkowym kluczu, ale inaczej odczytywany, objaśnia niam przykład II. Szyfr ten jest oparty na nomenklaturze, podobnej do szachowej. Mianowicie, każdy kwadrat posiada swą nazwę, składającą się z

PRZYKŁAD I.

ś	c	i	ą	g	n	ą	ć
p	r	z	e	d	s	t	a
w	i	c	i	e	l	i	p
o	l	s	k	i	c	h	n
a	t	e	r	y	t	o	r
j	u	m	n	i	e	m	i
e	c	m	a	x	r	e	i
n	s	d	o	l	e	r	s

Ściągnąć przedstawicieli polskich na terytorjum niemieckie.
Max Reinsdolers.
śpwaojen, criltucs, izcsemmd, ąeikrnao, gdeiyixl, nslctcre, ątihomer, ćapnriis.

PRZYKŁAD II.

		I	3	IV	8	II	1
4		r	s	k	a	o	i
III		u	z	ł	a	d	t
5		n	i	s	a	o	z
X		i	y	i	y	ł	c
2		a	n	y	ź	m	e
V		u	ł	w	w	i	u

Z = 3III.
3 III 2, I X II, 58III, 1V IV, X IV4, II5I, 21V, 8III8, 4 I V, 123, 4IV X, I51, 21I III, I5IV, 41III, IV2IV, III II5, II V I, 28X, 8III1, 534, 834, V II V, 3X3.
Załatwione warunki zmusiły do użycia siły.

nazwy pionowego i poziomego rzędu, oznaczonych jakąś cyfrą. Chcąc odczytać taki szyfr, należy znać kolejność numeracji rzędów pionowych i poziomych, co stanowi właśnie klucz tego szyfru.

Szyfr ten można jeszcze bardziej utrudnić, w ten sposób, że nazwy rzędów poziomych i pionowych będą się składały z cyfr i liter. Przyczem nie należy odczytywać litery, znajdujące się na przecięciu pionowego i poziomego rzędu, ale poprzednią, następną, albo położoną w sąsiednim rzędzie wskos. Ten sposób jest bardzo trudny dla niewtajemniczonych i dlatego był przed wojną bardzo często używany.

Na początku wojny Włosi używali t. zw. „Cifrario tascabile", polegającą na połączeniu dwuch szyfrów. Jeden, oparty na zasadzie „szachownicy", dawał w rezultacie nowy szyfr, oparty również na „szachownicy", ale o odmiennym kluczu i ten ostatni dawał właściwą wiadomość.

Rosjanie również używali tego samego systemu szachowego, jednakże wprowadzili cały szereg takich utrudnień i warjantów, że sami się w końcu gubili. Wkrótce jednak zarzucili go, jako zbyt skomplikowany, zastępując go t. zw. „Cezarem", opartym na odpowiedniej zamianie liter.

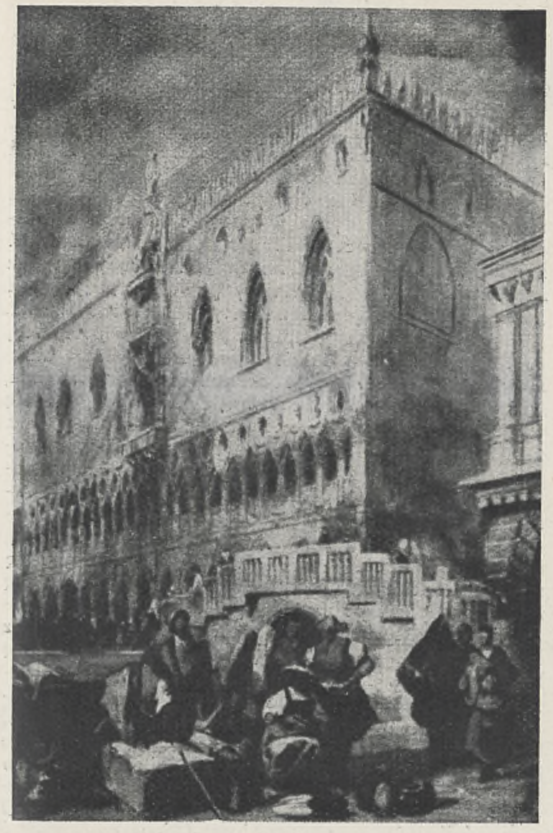
Jednakże najtrudniejszym dla odcyfrowania przez niepowołanych jest szyfr „książkowy". Polega on na tem, że nadawca i odbiorca są w posiadaniu książek tego samego tytułu, autora i wydania, przyczem wyszukują w tych książkach odpowiednie słowa, składające się na treść listu, oznaczając je numerami stronic wierszy oraz cyfrowej kolejności w wierszu. Nie posiadając tej samej książki nie można absolutnie listu odcyfrować. Szyfr ten był często używany przez szpiegów austrjackich, którzy mogli wypisywać kilometrowe epitety, z najdrobniejszemi detalami swej działalności, miejsca, ludzi oraz rzeczy, bez obawy odczytania tego przez wrogie sztaby.

Radjografja oraz telegrafja otwiera szerokie pole dla szyfrów. Każdemu wiadomo, że wysyłając depeszę, staramy się całą naszą wiadomość streścić w niewielu słowach. Tego rodzaju skondensowane depesze wychodzą nieraz napozór niezrozumiałe i tylko odbiorca, uprzedzony o możliwości otrzymania depeszy, w pewnej interesującej go sprawie, z łatwością ją zrozumie. Szpiedzy posługują się depeszami bardzo często, podając niewinne napozór wiadomości, dotyczące jakoby spraw rodzinnych, czy też interesów handlowych, a mające podwójne, ukryte znaczenie. W tym wypadku klucz szyfru polega na umówionych rzeczownikach, oznaczających pewne rzeczy, oraz przymiotnikach, dających tym rzeczom życie.

Odcyfrowanie znaków umówionych, przy szyfrach radjowych, stanowi nieraz prawdziwą syzyfową pracę. Jednakże poznanie klucza stanowi bogatą kopalnię wiadomości dobrego i złego.

Za przykład niech nam posłuży wojna trypolitańska, która po burzliwej aferze Agadiru, w lecie 1911, wybuchła na jesieni. Już 23 kwietnia centrala austrjackiego wywiadu iskrowego w Insbrucku wiedziała o mobilizacji korpusu neapolitańskiego, przygotowanego do transportu do Afryki. Austrjacki attache wojskowy w Rzymie, pułkownik Mietzl, na interpelację swego sztabu generalnego oświadczył, że są to jedynie wymysły, wyssane z palca nudzących się w kraju oficerów, węszących za odkryciem nowego skandalu, któryby im pozwolił zasłużyć na order. Pomimo to Insbruck zameldował dnia 11 maja sztabowi generalnemu, że korpus jest kierowany do Trypolisu. Pułkownik Miettzl powtórnie zaprzeczył jakimkolwiek alarmom wojennym, płynącym do niego z kraju. Jednakże austrjacki minister spraw zagranicznych, hrabia Achrenthal, nie lekceważąc wiadomości z Insbrucku, zawiadomił wszystkie swoje konsulaty i ambasady o mającej wybuchnąć wojnie.

Jedyną zasługą tak ścisłych wiadomości było przechwycenie szyfrów radjowych przez jednego z konfidentów austrjackich, niejakiego Lehmanna.



Słynny obraz Benningtona, przedstawiający pałac Dożów w Wenecji.



Analiza radjograficzna tego samego obrazu.

Promienie X w roli detektywów

Bohater powieści Leblanc Maurice'a, Arsenjusz Lupin, poza ciemnemi aferami, które złożyły się na jego bogaty życiorys, odznaczał się niepowszednią znajomością sztuki, oraz tak wspólną cechą wszystkich ludzi — pragnieniem posiadania oryginalnych dzieł wielkich mistrzów pędzla. Jedyną i najpraktyczniejszą jego metodą, było podstawianie udatnych kopij, na miejsce skradzionych oryginałów. I jedynie tylko przypadek, pozwolił jego wiecznemu prześladowcy, inspektorowi Ganimard, odkryć bogatą galerję obrazów, których dublikaty, nie budzące żadnych podejrzeń i wątpliwości wśród znawców i mecenasów sztuki, zdobiły muzea europejskie.

Szczęście, które towarzyszyło wszelkim przedsięwzięciom, genjalnego Lupin'a, nie pozwoliło mu dożyć naszych czasów. Na nic bowiem, nie przydałyby się najpracowiciej i najkunsztowniej wykonane kopje, gdyż fałszerstwo wyszłoby najaw, a Lupin, pozbawiony swego „artystycznego" zajęcia, powiększyłby grono bezrobotnych.

Oto, dyrektor laboratorjum doświadczalnego i konserwatywnego sztuki i rzemiosł, pułkownik Cellerier, wynalazł naukową metodę, przy pomocy której, z łatwością można wykryć fałszerstwa i błędy obrazów. Metodę swą oparł na poddawaniu obrazów działaniom spektralnym promieni X.

Dowodząc skuteczności swej metody, pułkownik Cellerier twierdzi, że żadnym dotychczasowo stosowanym sposobem, nie można stwierdzić autentyczności obrazu. Natomiast drogą badań naukowych, można wykryć, czy pędzel malujący dane płótno tkwi w dłoni mistrza, czy też kopisty. Poprzednio starano się badać rodzaj farby, oraz przypuszczalny jej wiek na płótnie. Jednakże okazało się, że autorzy obrazów, często używali różnych gatunków farb, zależnie od szerokości geograficznej, w której tworzyli swe poszczególne dzieła. Nastręczała się tutaj inna jeszcze przeszkoda, a mianowicie, chcąc badać farbę, należało wziąć jej próbkę, w celu dokonania analizy chemicznej, co mogło narazić obraz na uszkodzenie. Ekspertyza artystyczna obrazu, mogła być dokonana jedynie na optykę, która w tym wypadku często zawodziła. I tutaj dopiero metoda naukowa odniosła walne zwycięstwo. Odmawiano jej zpoczątku prawa obywatelstwa. Twierdzono, że wiedza, operująca wagą i szkiełkiem, nie jest w stanie sięgnąć do głębi sentymentu artysty, tworzącego swe dzieło. Że niepotrafi sklasyfikować tego, co stanowi duszę obrazu, inwencję autora, jak również wizję jego „palety". Okazało się jednak, że nauka ścisła rozłożyła i ponumerowała elementy, składające się na moment powstania „płótna", przeciągnąwszy dokładną granicę pomiędzy tem co w obracie żyje, a tem co to życie stwarza — światłem i cieniem.

Zastosowanie promieni X, do odcyfrowania jakości i wartości obrazów, zostało oparte na stopniu ich przenikania przez daną substancję. Promienie X (fale krótkie), rozmaicie są pochłaniane przez przedmioty, na które działają, a przedewszystkiem zależnem to jest od ciężaru atomowego. Przez drewniane ramy obrazu promienie przedostają się z wielką łatwością; z pomiędzy kolorów, biały, oraz sole ołowiana i cynkowa bez żadnego trudu je wchłaniają, podczas, kiedy karmin, niebieski (kobalt) i żółty (chrom) stają się pod wpływem promieni bardzo przeźroczyste i przepuszczalne.

Promienie ultrafioletowe, powodują pewnego rodzaju fluorescencję, pokrywającą rozmaitemi stopniami natężenia powierzchnię obrazu.

Żmudna ekspertyza oryginałów, przy pomocy promieni X i ultrafioletowych, dozwoliła pułkownikowi Cellerier, ułożyć tabelę wielkich mistrzów pędzla. Tabela ta uwzględnia stopnie przenikania promieni X przez płótno, zależnie od użytych barwników, oraz natężenia fluorescencji promieni ultrafioletowych na płaszczyźnie płótna.

Kopja obrazu, poddana badaniom naświetleniowym, wykaże w tej chwili rozbieżność od zanotowanej tabeli. Niezręczny pędzel kopisty, chcący naśladować mistrza, zdradzi się odrazu brakiem pewności w tworzeniu rysunku barwnego, a odmienne dobieranie barw i niejednokrotne poprawki, chcące wywołać, złudzenie autentyczności dzieła, zostaną zdemaskowane przez promiennych detektywów.

Odkrycie naukowej metody ekspertyzy obrazów, pociągnęło za sobą zorganizowanie laboratorjum badań naukowych muzeum w dworze paryskim. Pułkownik Cellerier, który stanął na jego czele, stał się groźnym wrogiem fałszerzy prawdziwego piękna i nędznych naśladowców czystej sztuki.

Doba genjalnych Lupinów minęła bezpowrotnie.

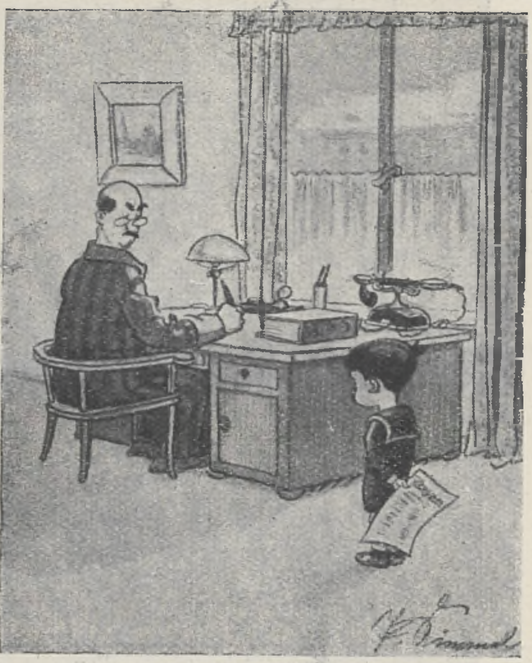


„Damy z Malty", obraz Fauray.



Ten sam obraz w ujęciu radjograficznem.

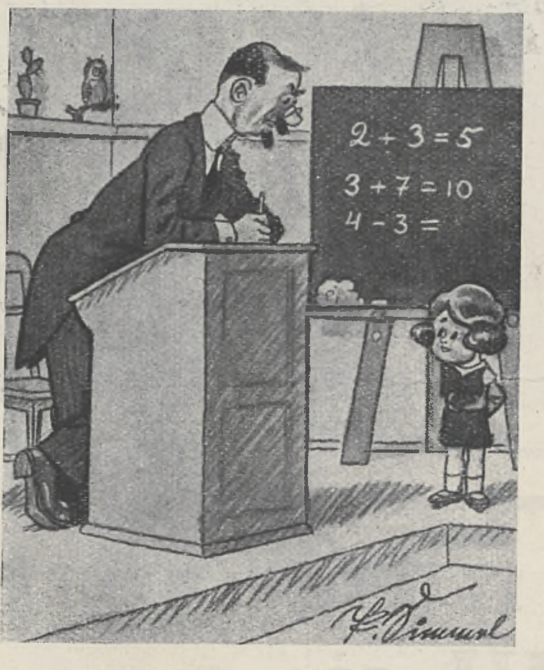
Enfants terribles



— Papo! czy potrafisz się podpisać z zamkniętemi oczyma?
— Oczywiście. Ale dlaczego o to pytasz?
— Bo musisz podpisać moją cenzurę.



— Mój nauczyciel jest bardzo dobry.
— Ciekaw jestem dlaczego?
— O! on jest tak miły, że nawet zostaję się jeszcze na jeden rok w jego klasie.



— Panie profesorze! Ja nie lubię tak rachować, żeby mi wyszedł „koń"...

Dr. Med. JERZY SZPAKOWSKI.

WIELCY SZALEŃCY

Jednostajnie płynie codzienne życie przeciętnego człowieka. Organizm jego wykonuje wszystkie funkcje z nadzwyczajną dokładnością, ulegając tylko od czasu do czasu pewnym zmianom. Chciałoby się porównać go z niezwykłą precyzją zegarka, ożywionego tchnieniem czegoś tajemniczego, tego, co nazywamy życiem. Lecz prócz życia samego, z pośród kółeczek, śrubek i sprężynek owego zegarka wydobywają się jakieś dziwne promienie. Różna jest wielkość, siła i natężenie tych promieni, jednakże nie wykraczają one przeważnie poza pewne granice, stwarzając świat myśli i uczuć zwyczajnego człowieka.

I nagle, jak błyskawica z pośród tych zwykłych wytryska jeden lub cały snop promieni mocnych, jaskrawych i jakby skondensowanych. Sięgają one wysoko ponad otoczenie, nieraz wyprzedzają w czasie całe pokolenie, a jakże często bywają niezrozumiane odrazu. Nic dziwnego! Przecież to przemówił Genjusz.

Nie zawsze jednak te wybuchy myślowe wzbijają się tak dumnie ku górze i stają się drogowskazami w postępie kulturalnym ludzkości. Nie zawsze docierają do tych wyżyn, które cechują już myśl genjalną. Czasem zbaczają, drogi ich załamują się, krzyżują się między sobą, wytwarza się splątanie. Powstaje myśl obłąkańca.

Ponad szarzyzną dnia powszedniego, ponad nami, myśli genjuszów szukają nowych dróg, nowych prawd. Nieraz zahaczają o coś, a czasem zbaczają nawet. Ich przeczulone natury łatwo załamują się. Dlatego też o wiele częściej, niż my wszyscy, stykają się z obłąkaniem. Od dziwactw różnego rodzaju, poprzez nadużywanie narkotyków do zaburzeń psychicznych u schyłku życia, a nawet wprost do klasycznego obłąkania, oto są ramy, do których moglibyśmy wtłoczyć conajmniej połowę ludzi genjalnych. Jednocześnie zdajemy sobie sprawę z tego, że właśnie dzięki ich nadzwyczajnej podatności na zjawiska zewnętrzne, oraz na przeżycia cudze i własne, jak również przewrażliwieniu, nieraz wprost chorobliwemu, powstało tak dużo genjalnych myśli. Zawdzięczając temu jedynie ludzie ci wypełnili w ciągu wielu wieków tak potężny Panteon Wielkich.

Wejdźmy do tego Panteonu. Mnóstwo sal. Długie szeregi grobowców od bardzo dawnych do najnowszych.

Ogromna sala: spoczywają tu wielcy poeci i pisarze. Wiemy o nich dużo. Ich utwory, listy, a nieraz i dzienniki mówią same za siebie. Przyjrzyjmy się niektórym. Oto epileptyk, Gustave Flaubert, który podczas tworzenia miewał halucynacje i to tak rzadkie, jak smakowe. Opowiada np. sam, że podczas opisywania sceny otrucia m-me Bovary, tak wyraźnie poczuł smak arszeniku i wyobraził sobie, iż jest otruty, że natychmiast wystąpiły u niego objawy zatrucia, aż do wymiotów włącznie. Dalej: Milton, który tworzył, zarzuciwszy głowę w tył, lub leżąc na kanapie głową do dołu; Schiller, trzymający nogi w wodzie z lodem podczas tworzenia. Wreszcie cały szereg innych. Ekscentryczny i chorobliwie przeczulony Byron. Narkomani Edgar Poe i Baudelaire, którzy dostają wreszcie obłąkania. Molière i Goethe, miewający napady chorób psychicznych. Epileptycy Petrarka i Dostojewski. Guy de Maupassant, który próbował poderżnąć sobie gardło, skończył zaś życie w lecznicy dla chorych umysłowo.

Zatrzymajmy się jeszcze przy jednej postaci. Klasyczny obłąkaniec i wielki poeta w jednej osobie — Torquato Tasso. Stałe wahania nastroju, ciągłe zmiany miejsca pobytu, wreszcie zupełne osłabienie pamięci. Liczne halucynacje wzrokowe, słuchowe i dotykowe, pod wpływem których widocznie, pewnego dnia wydobył sztylet i zranił służącego. Urojenia wielkościowe, a jednocześnie męczą go straszliwe urojenia prześladowcze. Podejrzewa, że chcą go otruć, obawia się mąk piekielnych. „Zły duch roznosi listy, w których są o mnie napisane różne rzeczy", opowiada Tasso. „Jest to jeden z tych cudów, które widziałem na własne oczy w szpitalu; bezwątpienia jest to sprawa jakiegoś czarownika, na co mam wiele dowodów, szczególniej zaś ten fakt, że chleb w moich oczach znikł gdzieś o godzinie trzeciej".

Idźmy dalej. Następna sala — wielkich filozofów. Auguste Comte, który leczył się przez 10 lat u słynnego psychjatry Esquirola, doszedł zdawałoby się już do zdrowia, gdy nagle, bezpośrednio potem, bez żadnej przyczyny, wypędza żonę i wreszcie ogłasza się kapłanem i apostołem religji materjalistycznej. Fryderyk Nietzsche już w swem dziele „Ecce Homo" wykazuje wyraźne objawy urojeń wielkościowych. Tytuły niektórych rozdziałów, jak np. „Dlaczego jestem tak mądry", lub „Dlaczego tworzę tak wielkie dzieła", mówią same za siebie. Dalej nazywa siebie losem, dynamitem, obawia się, ażeby nie uznano go za świętego. W listach z tego okresu wyraża nadzieję, że w najbliższych latach wszystko się przewróci do góry dnem i nie Bóg, lecz on będzie panował nad światem. Bezpośrednio potem musiano go umieścić w szpitalu dla chorych umysłowo. Leibniz mógł pracować jedynie w pozycji leżącej, a Descartes musiał nawet leżeć głową do dołu. Diderot nie pamiętał nigdy godzin, dni i miesięcy: zawsze zapominał odprawić wynajęty powóz, przez co był zmuszony nieraz płacić za cały dzień oczekiwania.

I wreszcie dwaj genjalni obłąkańcy. Pierwszy, to Schopenhauer, którego babka i stryj byli umysłowo chorymi, a ojciec dziwakiem, mizantropem, wreszcie samobójcą. Ten wielki człowiek bał się wszystkiego. Zewsząd uciekał: z Neapolu przed ospą, z Berlina przed cholerą i powstaniem, z Werony w przekonaniu, że dano mu powąchać zatruty tytoń. W obawie przed pożarem mieszkał zawsze na parterze. Przy najmniejszym hałasie na ulicy chwytał szpadę. Bał się wziąć do ręki brzytwę, nie golił się wcale — brodę wypalał. Obawiając się ciekawości obcych, wszystkie notatki, tyczące się interesów, pisał po łacinie, grecku lub nawet sanskrycku i chował pomiędzy książkami. Nie pił z cudzej szklanki, ażeby się nie zarazić, lękał się listów, gdyż w każdym z nich przeczuwał wiadomości o strasznych nieszczęściach. Wszędzie widział spiski przeciwko sobie. Nienawidził ludzi, polubił zaś psa, któremu zapisał w testamencie znaczną część swego majątku. Wściekał się ze złości i odmawiał płacenia rachunków, jeżeli nazwisko jego było w nich napisane przez dwa p. O sobie nie zapominał nigdy. W dziesiątkach listów pisał o swoich fotografjach i portretach olejnych, a o jednym z nich zaznacza, że nabył go ktoś, ażeby umieścić w kapliczce, specjalnie zbudowanej w tym celu.

Drugi, to Rousseau. Wielki filozof, który był zegarmistrzem, poetą, grawerem, nauczycielem muzyki, botanikiem, malarzem, lokajem, sekretarzem poselstwa, wreszcie kuglarzem. Jest pełen niesłychanych sprzeczności, nastrój jego jest zmienny do niemożliwości, pod wpływem wprost chorobliwych namiętności jest nieobliczalny, bezlitosny, nie liczący się z niczem. Wypija ogromne ilości kawy. Tworzy na największym skwarze słonecznym, z odkrytą głową. Uważa, że ma prawie wszystkie choroby, a nawet... polipa w sercu! Porzuca rodzinę, ucieka od świata. Wreszcie zostaje całkowicie ogarnięty strasznemi urojeniami prześladowczemi. Całe państwa, królowie, kobiety, wszyscy ludzie wypowiedzieli mu wojnę. „Zdołali oni przekupić handlujących jarzynami, ażeby ci sprzedawali mi przedmioty spożywcze taniej i w lepszym gatunku; bezwątpienia uczynili to dlatego, ażeby wykazać swoją szlachetność i moją podłość" Nie może wyjechać natychmiast z Anglji z powodu przeciwnych wiatrów, to też jest spisek. Kiedy chce, ażeby mu wyczyszczono buciki, pucybut nie ma wtedy szuwaksu; kiedy chce przeprawić się przez Sekwanę, przewoźnik nie ma wolnej łódki. Wreszcie prosi, ażeby wsadzono go do więzienia... ale i tego mu odmawiają.

Dalej! Tu spoczywają wielcy muzycy. Dziwacy Berlioz, Thomas, a szczególnie Beethoven. Epileptyk Händel. Mozart ze swemi urojeniami prześladowczemi. Rossini i Donizetti, wykazujący objawy chorób psychicznych. Wreszcie obłąkanie, któremu ulegają Gounod i Schumann.

Sala nauki — wiedzy ścisłej. Archimedes, który po wykryciu swego prawa, wybiegł nago na ulicę ze słynnym okrzykiem: eureka! Davy i Gaylussac, tańczący po pokoju w pantoflach po dokonaniu odkryć. Buffon, który, będąc bardzo zamyślony, wszedł jak lunatyk na dzwonnicę i spuścił się z niej po linie. Choroba psychiczna Ampere'a. Obłąkanie wielkiego Newtona.

Nie zatrzymujmy się już w innych salach. Zajrzyjmy jeszcze tylko do jednej. Sala tych, którzy panowali. Epileptycy Juljusz Cezar, Piotr Wielki i kardynał de Richelieu. Dziwnie nienormalna postać Robespierre'a. Wreszcie tak bardzo przeczulona natura epileptyka, Napoleona.

Wyjdźmy już z tego Panteonu. Pod jakiem wrażeniem jesteśmy? Czy ścigają nas wykrzywione twarze obłąkańców? Czy prześladują wybryki tych, których uważamy za wielkich? Czy wyidealizowane przez nas postacie runęły ze swych wyżyn? W dalszym ciągu Genjusz wielkich szaleńców przytłacza nas.

Przekonaliśmy się, że zarówno genjusz, jak i obłąkanie są tylko wyłomami z tych ram, które ograniczają codzienne życie. Zobaczyliśmy, że wielkie natury są jedynie bardziej podatne do zboczenia.

(Dokończenie na str. 16-ej)

MAURYCY DEKOBRA.

„Suche“ Stany Zjednoczone

Walc miljonów

Zapoznano mnie z miljonerami, którzy padli ofiarą krachu listopadowego 1929 r. Spotykałem w May Fair Club, w Ritzu, w Embassy, gentlemenów, którzy mimo straty na giełdzie kilku, a nawet paruset miljonów, zdawali się nie odczuwać klęski. Bardzo zajmującemi natomiast były zwierzenia Amerykanina średniego stanu, ot, takiego sobie — przeciętnego, co również, jak i inni, poniósł olbrzymie straty na ołtarzu spekulacji, która najbardziej trzeźwych i umiarkowanych może doprowadzić do skraju nędzy.

Pewnego popołudnia właśnie nawiązałem kontakt z jednym obywatelem — takim z seryjnej klasy — z jednym z tych dwudziestu miljonów skromnych spekulantów, dla których data 2 listopada stanowiła o rozchwianiu się wszelkich nadziei i planów na długie lata.

Skromny ten obywatel, którego nazwę w danym wypadku Smith'em, pracuje obecnie w charakterze wicedyrektora, w jednym z domów na Madison Av. Jest młody. Lat ma 34, ma żonę i jedno dziecko. Sam mi opowiadał dzieje swoich powodzeń i klęski, historję podobną do tej, jaką przeżywało miljony innych obywateli. Niechżeby opowiadanie to mogło ostrzec nieszczęśliwców — ludzi, co jak ćmy nocne ciągną ku światłu fortuny i olśnieni, ze spalonemi skrzydłami — padają, biedne ofiary zawrotnej spekulacji bez pokrycia...

— Drogi panie — oświadczył mi — dramat mój da się streścić w kilku słowach, gdyż cała historja, podczas której wzniosłem się, zdawałoby się do zenitu i spadłem z powrotem, zajęła zaledwie 4 miesiące czasu. Powróciłem z wojny. Miałem dwadzieścia dwa lata. Otrzymałem skromną posadę, na której zarabiałem około 60 dolarów tygodniowo w charakterze dekoratora mieszkaniowego. W parę lat później zarobki moje doszły do stu dolarów, czułem się już więc na siłach założyć ognisko domowe i ożeniłem się w New Jersey z młodziutką dziewczyną skromnego pochodzenia, której uposażenie moje wydawało się szczytem marzeń.

— Trzeba panu wiedzieć — przerwałem — że wielu Francuzów czułoby się szczęśliwymi, gdyby mogli zarabiać 10.000 franków.

— Być może — wyznał — i tem lepiej, jeśli tak u was myślą. Co do mnie, uważałem, że to mało i gorąco pragnąłem zmiany losu. Zaczęło się to jak zwykle — od przypadku. Oto pewnego razu, kiedy zajęty byłem meblowaniem mieszkania jednego z maklerów giełdowych, nawiązałem rozmowę z gospodarzem domu i opowiedziałem mu o swojem skromnem życiu.

— Widzę, że niby pan nie miał przeciw temu, żeby zarabiać o wiele więcej — zapytał mnie. — Nic prostszego. Nauczę pana... Proszę zajść do mnie, do biura.

Poszedłem. Zapytał mnie, czy mam jakie oszczędności. Wyznałem mu, że posiadam około 6 tys. dolarów w kasie pocztowej. Spojrzał na mnie, niczem rekordzista tenisowy na gracza w ping ponga i zawołał:

— Dzielny z pana chłopiec, ale brak panu inwencji choćby do wynalezienia nowego systemu tłuczenia orzechów. A ja pana nauczę zdobywać złoto. Proszę mi tu podpisać order na zakupno dwustu akcyj General Motors. Kurs — 70.

— Ależ to wynosi 14.000 — odparłem. — Skądże mi do tego...

— Niech się pan tem nie przejmuje. Kupuje pan na termin, a 6.000, które pan posiada, będą gwarancją. Niech się pan nie waha — chyba że woli pan zostać głupcem...

Dałem się namówić. Kupiłem akcje... Sześć miesięcy później moje akcje notowane były po 94. Przyznałem się tego dnia żonie, że zaryzykowałem wszystkie oszczędności, co mi przyniosło aż 28.000 zysku.

I w tem właśnie sęk, że już zatrzymać się nie można. Nabyłem znów 200 akcyj po 94, a w jakiś czas później sprzedałem je po 114. Zarobiłem... Zarobiłem w przeciągu roku cztery razy więcej, niż przyniosła mi praca w pocie czoła. A że nie zatrzymałem się — to jasne, bo każdyby tak samo zrobił na mojem miejscu. Bo wszyscy dookoła myśleli tak samo... Nikt nie przypuszczał, żeby koło Fortuny mogło się odwrócić, bo każdy, kto tylko zakosztował dobrego, myśli, że wszystko, co dobre, musi trwać wiecznie. Niechże się pan zastanowi, że powracając z pracy, za którą zarabiałem z trudem kilkanaście dolarów, codziennie niemal mogłem stwierdzać ze sprawozdania giełdowego, że wzbogaciłem się o paręset dolarów. Jad robił swoje... A reszty może się pan domyśleć... Czyż mogłem interesować się dalej swoim fachem? Co mnie obchodziły firanki i majoliki? Nie przywiązywałem żadnej wagi do tego, co mi mówili klijenci i przy pracy nawet studjowałem kurs giełdy. Przestałem być kupcem — zostałem graczem. W 1928 r. posiadałem już 80.000 dolarów. Żona moja, której kupiłem futro samochód, nesesery, pianino elektryczne, suknie z Paryża — żona, biedactwo, żyła jak we śnie. Ale oto pewnego dnia księgowy nasz — ot taki sobie stetryczały jegomość — ostrzegł mnie:

— Mówię panu, panie Smith, że coś się zaczyna psuć... Jabym, na pańskiem miejscu...

A ja wzruszyłem na to ramionami, bo powiedziałem sobie, że nie zatrzymam się, dopóki nie dojdę do stu tysięcy. Katastrofa zaczęła się 4 listopada. Biuro mego doradcy — maklera giełdowego — nie mogło pomieścić tego dnia tłumu zdenerwowanych interesantów. Gdy i na mnie przyszła kolej, oświadczył mi, że muszę nazajutrz przynieść 15.000 celem powiększenia pokrycia. Musiałem to uczynić — zacząłem sprzedawać tak samo, jak i inni — a po kilku dniach już wszystko się wyczerpało.

Pocieszano nas tem, że to jakoby banki i Treasury Department spowodowały naszą ruinę. — Cóż z tego, że był winowajca... Faktem było jednak, że wszyscy straciliśmy.

— No, i co pan zrobił wówczas?

— Zabrałem się do pracy. Wszystko straciłem — pozostało nam dziecko, którego nie mogłem przegrać na giełdzie, pianino elektryczne, futro żony i samochód na niedziele i święta... Katastrofa, którą przeżyliśmy, była dotkliwsza od wszystkich poprzednich z lat 1903, 1907, 1916 i 1920. Stwierdziłem wówczas, że podobne wypadki powtarzają się co kilka lat. Niczem przypływ i odpływ na brzegu morskim. Za sześć lub siedem lat nastąpi nowa katastrofa i mimo, że wszyscy są o tem przeświadczeni — znów będą naiwne ofiary.

— Podziwiam w tym kraju zapał, z jakim zabieracie się do roboty. Przypuszczam jednak, że doświadczenie to wyleczyło pana radykalnie....

— Na parę lat, drogi panie. W 1933 powinienem już mieć odłożonych parę tysięcy i z pewnością natknę się na doradcę, który mi powie:

— *I say*, Smith... Dowiedziałem się z pewnego źródła, że akcje Kopalni Kawioru w Arizonie podniosą się... Powiem panu...

No i cóż — posłucham jego rady....

JAN AUGUSTYNOWICZ.

„Pod białą kotwicą"

— Dość! — huknął pięścią w stół gruby Pociołek, a oczy nabiegły mu nagle krwią. Rozdął nozdrza, zwarł zębiska, policzki skurczyły się. Zamierzył się ogromną łapą jakby na nich wszystkich, ale łapa stężała w powietrzu i opadła zwolna.

Urwał się ich śmiech. Tylko chichot Szpery brzmiał jeszcze, jak czkawka, aż ucichł. Spojrzeli po sobie ze zdumieniem, wreszcie wjarzyli ślepia w Pociołka.

— Zwarjowałeś, czy co? — nabijał fajkę świeżym tytoniem Gryzderski.

Fajgusiński splunął.

— Te... słyszeliśta? Urżnął się chyba?

— Już się urżnął? Tym rumem i piwem? A cośmy wypili? Naparstki? — perorował Łaskosz.

Szpera zaczął dłubać w zębach.

— Podoba mi się... Tak w stół, aż kufle drgnęły. A nie skaleczyłeś rączuni, stary?

Pociołek dyszał. — Sobaki — myślał. Milczał jednak.

— No?... — wzruszył ramionami Gargos. — Ugryzło cię w piętę, czy poczułeś gwóźdź w wątrobie? I cóż ty, niedźwiedziu, tak oto? A może o tę dziewkę? — olśniło go.

Twarz Pociołka zrobiła się purpurowa. Zadrgały usta. Znowu pięść się zacisnęła.

— O tę dziewkę?... — podchwycił Waltorski. — O tę dziewkę?... — powtórzył i objął się z uciechy za lędźwie.

— Co ma piernik do wiatraka, a ta dziewka do niedźwiedzia? — zauważył poczciwie Chozdowicz. — Nie rozumiem! — skrzywił się podstępnie.

A Filpus patrzał na Pociołka i coś jakby ważył w myśli. Ładne jego oczy pociemniały. Ściągnęły się usta.

Właśnie mijała ich z kuflami piwa, które niosła do obocznego stołu, zajętego przez wojskowych marynarzy. Wzrok jej spotkał się z wzrokiem Filpusa i uśmiechnęła się do młodego franta pełnią jasnego uśmiechu.

Pociołek dostrzegł to i spojrzał ciężko na Filpusa. Filpus wydął wargi.

Łakomie brali ją tu w ślepia wszyscy. Zgrabna, no, tak, i przylepna na podziw. A te oczy szelmowskie, któremi tak umiała przewracać i które zarazem jakby na nikogo nie patrzały?... A te włosy bogate i puszyste, niby tęcza wokół twarzy białej i chyba aż pięknej?... A ta szyja, te ramiona, te piersi?... A te pełne jakby miodu biodra i nogi toczone, w chodzie jak do tańca zawsze... I taka młoda, — osiemnaście zaledwie! I pyskata — na wszystkie boki — i tak przemiła!

— Marynka — myślał właśnie Pociołek i aż zatkało go z duru i z żałości, z wściekłości i z rozrzewnienia. Widział tę twarz, niczem aniołka z obrazka w kościele na górze w Oksywiu. Cholera!

Tak za tę mordę piękną i o ziemię, — kopać, bić, tłamsić, opluć... Łajdaczka?... Dziewka, niczem uliczna!....

Zapiekło go pod sercem, a nóż poczuł w mózgu. Znów pociemniały mu oczy. Gorzka ślina, prawie trucizna, napłynęła do ust.

Uwidziało mu się, że Filpus, popatrujący na niego, rzekł mu jakby przez zęby: bydlę. To się tak tylko zdało, ale czy nie miał tego w myśli ten łotrzyk? Za co? Za Marynkę? Oczywiście. Wydało się jeszcze, że dorzucił: stare. „Stare bydlę". Ma się rozumieć! Zacisnął pięści.

Filpus uśmiechał się. Gładził przystrzyżone wąsiki, łyskały młode jurne zęby. Smuga spojrzenia, którem ogarnął wracającą Marynę, przylepiła się do jej piersi aż zbyt widocznie.

Karminowy cień zmatował policzki Pociołka.

Maryna wzajem ukazała Filpusowi swoje kształtne zęby. Ma, psiakrew, jak perły — rzekł sobie w duszy Pociołek. — A te usta... Jak dwie jagody, co wnet sokiem trysną. Zaogniło się w Pociołku. Chwycić ją, przycisnąć do serca, utulić, wgryźć się w te usta, dać się kąsać tym zębom, wybrać bezmiernem spojrzeniem płomień z tych oczu... Wetchnąć w siebie zapach tego ciała, głowę ułożyć na tych piersiach — i choćby zapłakać.

„Stare bydlę"... — ciemniało mu w oczach.

Zapłakać! Stare bydlę naprawdę! Czy o płaczu pomyślałby, gdyby, zamiast swoich pięćdziesięciu, miał akurat połowę, dwudziestopiątkę jak Filpus?

Filpus! — niby wąż, skręciła się w nim nienawiść.

Więc była, jak rzekli, aż taka? Nie, łgarstwo! — coś parło mu się do gardła i, wściekły, wypluł to głośno:

— Łgarstwo!

Filpus przyglądał mu się. W pewnej chwili jakby niechcący macnął się w bok, gdzie pod kurtką za paskiem miał nóż. Całym ciężarem spojrzenia legł Pociołek na Filpusie.

— Co łgarstwo?—pociągnął mocniej fajkę Gryzderski, bo się źle paliła.

— Czyby o tę dziewkę naprawdę?... — z wielkiem zdziwieniem przepijał do kompanji Szpera.

— Sfiksował stary — kiwał głową Gargos. - Bo o tę dziewkę?... — rozłożył ręce.

Łaskosz zachichotał.

— W starym piecu, psia jego... W starym! — zatarł dłonie z uciechą.

Fajgusiński nachylił się ku Pociołkowi.

— Cóż? Naprawdę o tę dziewkę? A cóż ona ciebie obchodzi? Także! — wzruszył z lekceważeniem ramionami.

Pociołek milczał. Nabrzmiałe na jego skroniach żyły pęczniały jeszcze. Drgnęła mu gwałtownie kilkakrotnie dolna warga, przez nozdrza z trudem i świstem przepychało się powietrze. Wielkie barki obwisły.

Filpus zapalił papierosa i splunął artystycznie przez zęby.

Od bufetu dał kroku gospodarz. Wyga spelunkowy, z kwadratową twarzą i z oczami, jak u zadziwionej flądry. To stałe zadziwienie dobrze maskowało dość plugawą chytrość zwierzęcych rysów. Wielki kałdun trząsł się zlekka, bawoli kark i żylaste ręce uwypuklały się okazale. Na ustach igrał przyjemny uśmieszek — zawodowy, pierwszej klasy. Niekoniecznie czysty skórzany fartuch z ramiączkami trzeszczał przy chodzie charakterystycznie.

— Panowie szlachta — przystanął przed grupą „węglarzy", robotników z portu, ładujących węgiel na okręty, — dobry wieczór! Może jeszcze piweczka? A może rumu, albo gorzkiej z kropelkami? Może likieru? Wczoraj przywieźli mi z Gdańska taki e x t r a, że tylko gardło wilżyć, a palce lizać, kochani chrześcijanie. A żarcie? Schab z kapustą, boczek z kartoflami, nogi w galaretce, kiełbasa gospodarska, kotlety z makaronem, jajecznica z sperką. Hej, Maryna! — zaklaskał.

Marynę szczypał przy bufecie jakiś duński marynarz. A Szwed, co stał obok, pomagał. Parskała cichym śmiechem, niby opędzając się im, i szczerzyła piękne zęby. Duńczyk mlaskał ozorem i przewracał ślepiami. Był już trochę „pod gazem".

Fajgusiński trącił Pociołka.

— Nasza święta miłosierna jest. Patrzaj, stary, a dobrze. Czyżbyś ty o nią naprawdę? — wparł w niego natrętnie oczy. — Bo chyba jeszcze całkiem nie zgłupiałeś? Cha, cha!

Wnet poparła go śmiechem reszta, a najgłośniej Filpus. Filpus zaśmiał się tak, że zęby omal na wierzch mu nie wyszły.

Ciężko opuścił głowę Pociołek, który dobrze dostrzegł skromniutki, przygodny flircik Maryny.

Gospodarz stał już przy wojskowych marynarzach. Otworzyły się drzwi. Weszli nowi. Ci, co siedzieli, byli z „Błyskawicy". Ci nowi — z „Bohatera". Zajęli stół opodal. Gospodarz witał ich przyjaznym gestem łapy, obrośniętej jak u małpy. Klasnął, ale nie na Marynę, bo była zajęta, lecz na Julkę. Julka nie celowała zgrabnością ani urodą, a choć młoda także, starsza przecie była od Maryny o jakieś pięć lat. Lubiono ją, jak zresztą i Elżbietkę, tęgą i czerwoną, też młodą i nawet przystojną, bo, wiadomo, kobietki i kelnerki nietrudne do zabawy, ale czemże były przy Marynie!? Przybiegła Julka. Wzrok przybyłych jednak pobiegł ku Marynie.

Gospodarz uśmiechnął się. Ta Maryna wspaniale zwabiała mu do szynku młodszych i starszych. Taki klejnot urody, młodości, ciała, kształtów, zgrabności, uroku! A nietylko klejnot, ale i cwaniaczka z sakramenckim drygiem do jaknajdokładniejszego ułatwiania chłopom najfundamentalniejszego żarcia i picia, — za gotówkę, naturalnie. Nie szkoda takiej za to procent, prócz pensji płacić i niech sobie Julka i Elżbietka gębę nią o to pokryjomu wycierają. Julkę i Elżbietkę ona i on mają w najjaśniejszej pięcie — i gdzie takim do niej?! I marnowała się jeszcze niedawno za niańkę w Orłowie, a przedtem w Radomiu! Maryna!

Z szyderstwem wspomniał, że pomawiano go o to, że jest jego kochanką i że nawet — i nieraz — sobaczono o tem do jego żony, która mu za to niejedno piekło zrobiła. A czy to czyja sprawa, czy jest jego kochanką? Albo kochanką jego syna? Pociemniały mu oczy. — Walek! — wykrztusił w myśli z nienawiścią. Walek ma przecie w Gdańsku jakąś Gretę czy Mizzi, a może i parę ich. Ale czy naprawdę ma i Marynę?

Szybko poszedł spojrzeniem ku Marynie, która właśnie niosła likier trzem siedzącym w prawym kącie Norwegom. Połaskotała go wzrokiem, aż mrówki przeszły mu przez krzyż. Tę sprawę trzeba będzie nareszcie wyjaśnić, bo co są warte jej gołosłowne zaprzeczenia, gdy poszlak — i nikczemnych — tyle! Czy wielu ma kochanków i czy jednym z nich jest Walek naprawdę? Gruby flirt z różnymi tu w knajpie, no, to potrzebne, ale to inne?!... — — —

Szykowcy z „Błyskawicy" baraszkowali z swemi dwiema pannami. Jeden z nich poklepał gospodarza po ramieniu, pytając, czego się nagle zamyślił? Gospodarz drgnął i wnet rozwarł paszczę do szerokiego uśmiechu. Pokazując złote zęby, odrzekł kilka żartobliwych słów i poszedł do tych z „Bohatera", którzy próżno oglądali się za kobietami.

Knajpa czadziała w dymie i wyziewach. Była dziesiąta wieczorem i sobota, jak zresztą zwykle, zapowiadała się wybornie dla gospodarza. Darł się grający roztrzęsioną polkę gramofon. Na boku z lewej strony na wolnej „dancingowej" przestrzeni kręciły się pary. Niektórzy, podpici, mówili bardzo głośno ,jakby chcąc przekrzyczeć gramofon. Pijacka radość oczu mieszała się z zadowoleniem syconych wbród żołądków. Już brakowało wolnych panien, bo te, co przyszły bez mężczyzn, a przychodziło ich zawsze sporo ochotnie. (Wiadomo: funda, taniec, wesołość, ciąg dalszy po knajpie a czasem, choć rzadko coprawda, i wyjście zamąż za frajera co dał się wziąć na wędkę), zostały „rozdrapane". Ohydna renoma tej spelunki nie odstraszała amatorek, gdyż korzyść była oczywista, gospodarz zaś, walczący z konkurencyjnemi „Mewą" i „Złotym Śledziem", robił wszystko, co mógł, by, jak i goście-mężczyźni, czuły się tu „kokosowo".

Szykowcy z „Bohatera" mieli do gospodarza pretensję o brak wolnych kobiet i tem większą, że wiedzieli przecie, iż są „szykowcami". Próżno sumitował się i zwracał im uwagę, że przyszli, jak w tym celu dość późno. Z lekką pogardą popatrując na marynarzy z marynarki handlowej a z zdecydowaną na „węglarzy" i resztę „hołoty", próbowali, zerwawszy się, odbić parę kobiet tym i owym i zaniosło się na awanturę. Gospodarz piorunem wziął się do „jaknajtaktowniejszej" interwencji.

— Maryna! Dawaj tu, stary, Marynę! — ozwał się jeden z nich, reszta zaś wnet go poparła. — Nie mamy swoich kobiet, niema już wolnych, a skamlesz, żeby nie odbijać innym, więc dawaj Marynę. Ej, Marynka! — huknął przez zwinięte w trąbkę dłonie, a później wyciągnął je w stronę Maryny, jakby pragnąc, by mu spłynęła w ramiona.

Maryna, niosąca dla pewnych pod poprzeczną ścianą półmisek z kotletami, zaśmiała się. Zaświeciły drobne zęby. Ale dała znak oczami, że nie może. Nie zważając na to, wstał szybko i poskoczył ku niej.

Ledwie zdążyła postawić tamtym półmisek. Chwycił ją za ręce i pociągnął ku kompanji.

Gospodarz zrobił przyjemną minę. Podszedł do grupy Pociołka.

— Cześć, sława — pochylił się w ukłonie. — A kiedy wiara znów w drogę? Jeszcze chyba trochę w Gdyni?

Pociołek myślał właśnie o żonie i dzieciach. Żal mu było i żony i dzieci, a przecie tak utonął całkiem w tej dziewce. I choć nic między nimi nie było, choć nie powiedział jej, że ją kocha i choć ona na niego uwagi nie zwracała, tak przecie w niej bez miary utonął. Dziewka! — żgnęło go w serce. Spojrzał, jak przez mgłę, na gospodarza.

— Ano, „Światowid" już jutro — informował Gargos, — a więc Fajgusiński, Chozdowicz, Gryzderski, Waltorski i ja. „Nadzieja" z Szperą, Łaskoszem, Pociołkiem i Filpusem za cztery dni. Niema co! Jak dobrze pójdzie, to znowu się tu szczęśliwie za jakiś miesiąc spotkamy.

— Daj, Boże, amen — przypieczętował uprzejmie gospodarz.

Dopadł ich nagle krótki stłumiony okrzyk Maryny. Akurat trzymał ją mocno jeden z tamtej paczki i usiłując posadzić sobie na kolanach, całował, aż miło.

Jakby na komendę, wszyscy przy tym stole, prócz gospodarza, spojrzeli na Pociołka. Waltorski nie wytrzymał i znów chwyciwszy się z uciechą za lędźwie, zarechotał:

— Więc, Pocioł, o tę dziewkę?...

Gospodarz zrobił zdziwioną minę. Pociołek siedział blady. Szyderczo przypatrywał mu się Filpus, wyższy jakby ponad najświeższą scenę z Maryną.

— Ładna i smaczna, naturalnie — podrapał się w biodro Fajgusiński, — ale... Eee... — wzruszył ramionami, widząc minę gospodarza — mówiliśmy tu, jak się patrzy, o niej, bo co taka warta? A tu jak nie huknie Pocioł w stół i jak nie wrzaśnie... I jeszcze nam łgarstwo zarzucił.

Ciężki oddech dusił piersi Pociołka.

— Głupstwo, kelnerka — ozwał się nieswojo gospodarz, — a tu nie kościół.

— Wiadomo: spelunka, dom publiczny — wyjaśnił Gargos.

— Dom publiczny?! — żachnął się z stuprocentową godnością gospodarz.

Coraz padały krzyki i piski. Nastawiony przez gospodynię gramofon „rżnął" teraz oberka. Tańczyło z pół sali, tańczyła już i Maryna.

— Cacaniusie bażanty — wskazał Łaskosz na wojskowych marynarzy. — Patrz, Filpus, jak tamten z Maryną wykręca. Żeby ci jej nie skręcił wypadkiem, bo z kimbyś sobie przed odjazdem użył jeszcze trochę słodziuśko? Wiemy, kamracie, gdzie twoje raki zimują!

Filpus machnął ręką z lekceważeniem.

— Taką?

Podniósł z trudem na niego oczy Pociołek.

— Więc czego kumasz się z nią — i to jak?! — przechylił się ku Filpusowi Chozdowicz.

Drwiący uśmiech nie schodził z ust Filpusa. Gospodarz wartko nadstawił uszu.

— To już nie twoja sprawa — wyjął z kieszeni papierosa Filpus. — Każdy, kto młody i od djabła ładniejszy... Cóż to szkodzi? — zaśmiał się rozgłośnie.

— Ej, Marynka! — zaklaskał gospodarz, bo Szpera wskazał puste kufle.

Wyrwała się z koła tańca i przybiegła. Zgarnęła kufle, a jednocześnie otarła się znamiennie spojrzeniem o Filpusa. Odśmiechnął się też wymownie. Ale nagle chwycił ją za gardło Pociołek. Zachwiawszy się, wydała charkotliwy krzyk, kufle wypadły jej z rąk i trzasnęły z brzękiem o podłogę. Zrobił się gwałt. Najbliżsi rzucili się na Pociołka, a gospodarz w pierwszym rzędzie. Pociołek nie puszczał jej, aż go powalili. Zerwał się. Oczy miał straszne. Z przerażeniem uciekała Maryna. Przestano tańczyć, porwano się od różnych stołów

— Za tego durnia będziemy odpowiadali my wszyscy! — wrzasnął Filpus. Cała paczka miała się na błyskawicznej baczności.

Jakby kwik, a później straszny jęk rozdarł niespodzianie powietrze. To Pociołek, poddawszy się ku Filpusowi, trzasnął go ogromną zwartą kurczowo pięścią w skroń. Runął okrwawiony Filpus. I nim zdołano przeszkodzić Pociołkowi, z furją kopał w głowę leżącego i coraz słabiej rzężącego Filpusa. Gdy wreszcie obezwładniono po rozpaczliwym odporze jego rąk Pociołka, Filpus już nie żył. Błędnie patrzał w przestrzeń trzymany krzepko przez liczne żylaste dłonie Pociołek, a jakiś tubalny męski głos, starający się przekrzyczeć jazgot wzburzonych okrzyków męskich i pisk i histeryczny płacz przerażonych kobiet, dudnił pod adresem zbladłego gospodarza:

— Cóż, ścierwo... Dymaj po policję... Czy ci to pierwszyzna w tej twojej psubrackiej gospodzie?!

Co słychać na świecie

Grandi, minister spraw zagranicznych królestwa włoskiego, przybył w d. 9 b. m. do Polski, by rewizytować p. min. Zaleskiego. Wizyta p. min. Grandiego u nas jest jednym z licznych dowodów wzrostu mocarstwowego znaczenia Polski zarówno w dziedzinie politycznej, jak i na polu gospodarczem.

Drugim z podobnych dowodów jest podniesienie poselstwa polskiego w Angorze i tureckiego w Warszawie do rzędu ambasad. Ten drugi doniosły fakt polityczny świadczy również o przyjaznych stosunkach naszych z narodem, który nigdy nie uznał rozbiorów Polski.

*

Istotną przyczyną zajścia granicznego pod Opaleniem była intryga — jeśli nie prowokacja — niemieckiej policji granicznej, jak to podkreśla powtórna nota rządu polskiego w sprawie tego zajścia, złożona w d. 7 b. m. w Berlinie. Komisja, powołana do zbadania zajścia, stwierdziła, że funkcjonarjusze polskiej straży granicznej przeszli granicę za inicjatywą, z wiedzą i w towarzystwie niemieckiego kierownika komisarjatu granicznego Stullicha, upoważnionego do regulowania ruchu granicznego.

*

Zapisy na pożyczkę budowlaną, jakie otwarto w d. 7 b. m., zostały zamknięte już w d. 7 b. m., mimo że termin zapisów przewidywany był do d. 16 b. m. Podobno suma zapisów znacznie przewyższa przewidzianą kwotę 50 miljonów zł.

*

P. min. spraw wewnętrznych, H. Józewski, ustąpił na własne żądanie, powracając na stanowisko wojewody wołyńskiego. Tekę ministerjalną objął ponownie p. gen. Składkowski.

*

Oferta firmy W. A. Harrimana and Co, jaka proponowała elektryfikację części terytorjum Rzplitej, została odrzucona jako niekorzystna dla państwa. Oferta ta w swoim czasie wzbudziła żywą polemikę prasową za i przeciw.

*

Żądanie zwołania sesji nadzwyczajnej Senatu p. Marszałek Szymański wysłał w d. 5 b. m. do kancelarji cywilnej p. Prezydenta Rzplitej.

*

Bank Polski wypłacił ostatnio pierwszą normalną pełną ratę półroczną na rzecz skonsolidowanego długu Polski wobec Stanów Zjednoczonych. Rata przewyższa 3 miljony dolarów.

*

W wyborach uzupełniających do Sejmu z 7 powiatów wielkopolskich brało udział 63% uprawnionych. W rezultacie wyborów blok katolicko-narodowy zdobył 2 mandaty, oraz po jednym: N.P.R.-prawica, blok mniejszości narodowych i zjednoczone stronnictwo „Piast" i Ch.-D.



Ambasador Tytus Filipowicz wręczył insygnja orderu Polonia Restituta naczelnemu dyrektorowi amerykańskiego Czerwonego Krzyża, d-rowi Edwardowi Green.



B. minister Reichswehry, dr. Otto Geissler, odwiedził groby poległych żołnierzy niemieckich pod Verdun. Zbiorowej wycieczce Niemców sprzeciwili sie członkowie „Croix de Feu" z marszałkiem Pétain i Lyautey na czele.

*

Dekretem z d. 30 maja p. Prezydent Rzeczypospolitej wezwał głowę autokefalicznego kościoła prawosławnego w Polsce, metropolitę Dyonizego, by metropolita zwołał pierwszy w odrodzonem państwie sobór, poprzedzony zebraniem przedsoborowem. Dekret p. Prezydenta nawiązuje do ostatniego soboru kościoła prawosławnego w Polsce, jaki został otwarty pod auspicjami Rzplitej w d. 15 czerwca r. 1791 w Pińsku. Niestety, wówczas dzieło nie mogło być doprowadzone do końca wobec rozbiorów Polski.

*

Gdańsk, Warszawa, Lwów i Bukareszt połączone zostały linją lotniczą, jaką otwarto w d. 1 b. m. Linję obsługują samoloty P. L. L. „Lot".

*

Zmiana na tronie rumuńskim dokonała się z niezwykłą szybkością.

Wygnany książe Karol przybył do Bukaresztu w sobotę d. 7 b. m., niezwłocznie poczem odbyło się o g. 8 m. 30 rano posiedzenie rady ministrów, a o g. 9 m. 30 rano posiedzenie rady regencyjnej. W wyniku narad gabinet premjera Maniu złożył o g. 8 wieczorem tegoż dnia dymisję, przyczem wyjaśniło się, że sam premjer i czterej ministrowie wypowiedzieli się za powołaniem ks. Karola do rady regencyjnej, pozostali zaś członkowie rządu — za proklamowaniem ks. Karola królem. Gabinet sformował niezwłocznie premjer Mironescu i o godz. 9 wiecz. członkowie nowego rządu złożyli przysięgę na konstytucję. Nazajutrz, t. j. w niedzielę, odbyły się naprzód posiedzenia izby poselskiej i senatu, na których uchwalono przywrócić ks. Karolowi prawa do tronu; następnie o g. 1 w poł., na posiedzeniu zgromadzenia narodowego 486 głosami przeciw jednemu przyjęto wniosek Juniana w sprawie proklamowania księcia Karola królem Rumunji.

Zdetronizowany na rzecz ojca król Michał przyjmie prawdopodobnie tytuł wielkiego wojewody albo księcia Alba Julji.

*

W Indjach przeprowadzono rewizję w lokalu głównej kwatery kongresu narodowego, gdzie koncentrowało się kierownictwo akcją nieposłuszeństwa. Aresztowano kilku członków t. zw. rady wojennej i skonfiskowano znaczną ilość dokumentów. Jednocześnie jednak depesze donoszą z Bombaju, że muzułmanie hinduscy urządzili manifestację sympatji dla Gandhiego. Organizacja muzułmańska uchwaliła wziąć udział w akcji nieposłuszeństwa i w bojkocie towarów angielskich. Jest to olbrzymi atut na rzecz gandhystów, jak dotąd bowiem można było przypuszczać, że niechęć wyznaniowe w Indjach ułatwią zwalczanie akcji nieposłuszeństwa.



Nowym lordem admiralicji angielskiej mianowany został adm. Sir Charles Madden.

*

Cała prasa codzienna z dn. 5 b. m. ogłosiła apel Polaków kowieńskich do świata cywilizowanego w sprawie pogromu Polaków w Kownie w dn. 23 maja. W rezolucji apelu powiedziano, iż akcja terorystyczna wobec ludności polskiej na Litwie cieszy się zupełną bezkarnością, a nawet wywoływana jest sztucznie w kołach młodzieży w jakichś ukrytych celach politycznych.

*

Powstanie przeciwsowieckie narodów kaukaskich zostało, jak się zdaje, krwawo stłumione. Członków b. rzadu narodowego Azerbejdżanu rozstrzelano, do Persji zaś masowo napływają zbiedzy z Armenji, Azerbejdżanu i Gruzji.

*

W czasie zjazdu orgainzacyj „Stahlhelmu" w Szczecinie przemawiał m. in. hr. Eulenburg, wzywając obecnych, by nie zapominali o prowincjach odstąpionych po wojnie. „Co było niemieckiem musi powrócić do Niemiec" — oświadczył hr. Eulenburg z naciskiem.

Jednocześnie na podobnym zjeździe we Wrocławiu Duesterberg oświadczył, że Stahlhelm" nigdy nie uzna granic Niemiec, wykreślonych przez traktat wersalski".



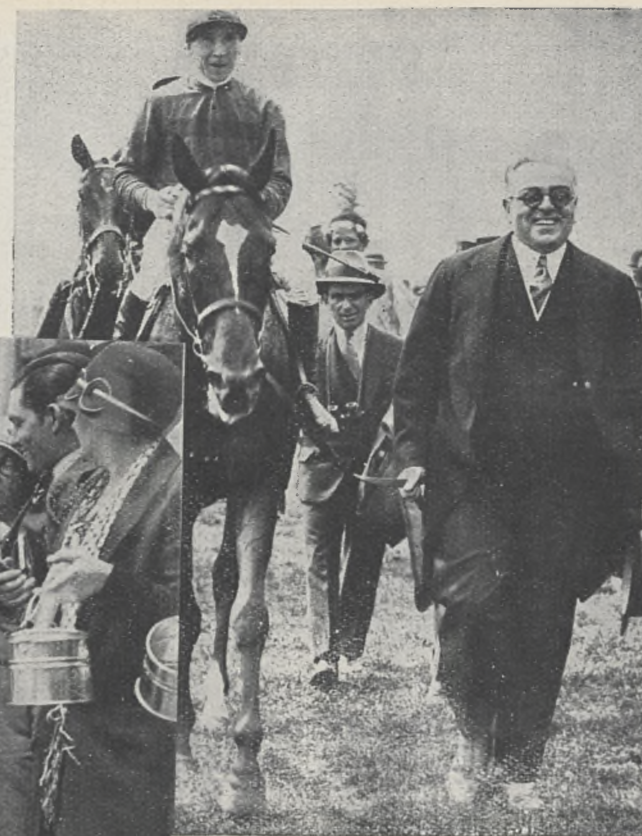
W wyniku konferencji morskiej w Londynie admirał japoński Kato zgłosił swoją dymisję.



Pan Prezydent Rzpltej udzielił audjencji patronowi wycieczki katolickiej z U. S., ks. biskupowi Plagensowi.



Rajmund Duncan, pragnąc przyczynić się do propagandy pro-hinduskiej, warzy demonstracyjnie sól w New Yorku, ku wielkiej uciesze gawiedzi.



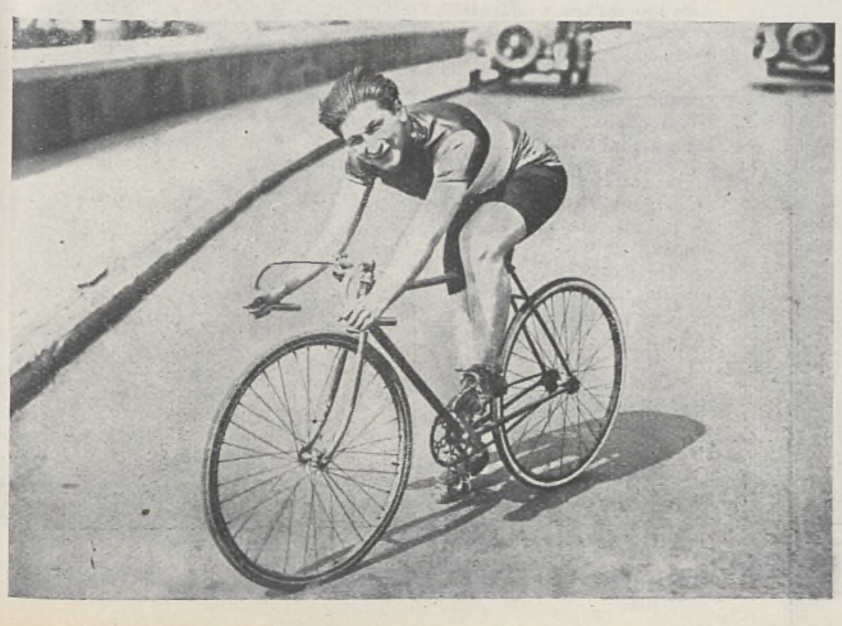
„Bleinhein" Agi-Khana. Zwycięsca w Epsom.



Lord mayor m. Londynu, Sir William Waterlow, wraz z 43 burmistrzami angielskimi odbył pielgrzymkę na groby poległych z pod Vedun.



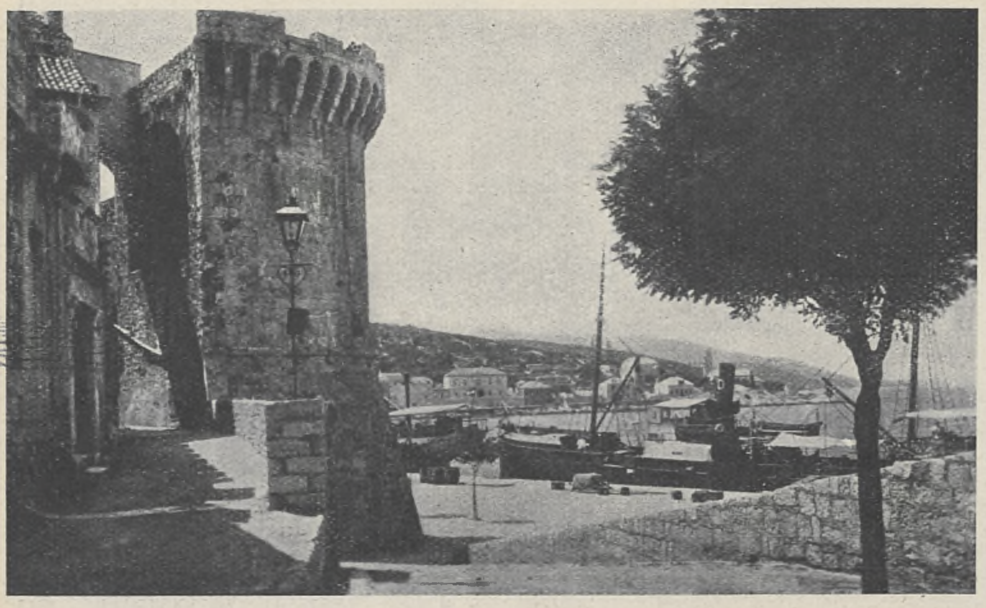
— „Judy" — psi bogacz Spadkobierca 2 milj. dol.



Mistrz koła, Lowson, dokonał rekordu jazdy w ciągu 36 godz. bez przerwy.



Uroczysta ceremonja, zwana „Trooping of the Colour" w Anglji.



Port w Korculi.

JAN IGNACY TARG.

Tajemnica Kali Megdanu

Gdyby w tej chwili istniała możliwość nawiązania bezpośredniej łączności ze mną, to niewątpliwie pierwszem pytaniem szanownych czytelników byłoby:

„A co to jest właściwie ten Kali Megdan?"

Czując to pytanie, zawisłe niejako między ustami (oczywiście czytelników) a brzegiem... stalówki, dłużny jestem małe wyjaśnienie, że Kali Megdan jest to.... Ale nie będę uprzedzał faktów. Postanowiłem tajemnicę tego słowa zdradzić dopiero przy końcu.

Dlaczego? Bo taka jest moja indywidualność.

A teraz proszę sobie wyobrazić koniec sierpnia i mnie, mnie, obdarzonego urlopem i tem, co się po polsku przywykło mówić: „Reisefieber". Wyjeżdżałem do Ju-go-sła-wji. W tem miejscu przypomnieć muszę: wiecznie wrzący kocioł bałkański, kolebkę wojny światowej — Sarajewo, oraz błękitny Adrjatyk, by usprawiedliwić swój, pełen emocji, stan, w oczekiwaniach na wyjazd.

Zaopatrzony w przepisaną ilość podpisów i pieczątek, w małem, ale dobranem towarzystwie, opuściłem wreszcie rodzinną Warszawę, by odwiedzić nieznaną krainę.

Już poza granicami Polski spotkała mnie przygoda. Oczywiście, jak w takich wypadkach i poniektórych popularnych romansach bywa — przygoda z kobietą. Wesoła, ale najzupełniej odmienna od przyjętego szablonu i całkowicie, o dziwo! pozbawiona erotyzmu. Nic z modnego Dekobry, ani Pawła Staśki! Rozczaruje to niewątpliwie miłe czytelniczki, pasjonujące się Księciem Selimanem, czy nawet Tajemnicą wagonu sypialnego. Ale trudno! Przyrzekłem sobie, że będę mówił prawdę, zgodnie z przebiegiem zdarzenia, więc trzymam się za słowo. Petrovice. Wyglądam z okna, obserwując pierwszą obcą stację, obce twarze, miny, słucham obcych dźwięków, tak bardzo podobnych, a jakże innych. Tuż za mną, ktoś tubalnym głosem niespodzianie wrzasnął: nosicka. I w tej chwili wyrosła postać tragarki, skłonnej zabrać dwa wielkie kufry. Dwa ruchy i bagaż znalazł się na plecach zwinnej, o jakże brzydkiej! kobiety.

Nie mogłem ukryć swego zdziwienia. Chciałem protestować, wszak kobieta.....

Mój towarzysz podróży w porę mnie zatrzymał. Panie, przecież to niewiasta do rzeczy... Zabrakło mi argumentu. Widocznie i takie bywają. Ha! Co kraj, to obyczaj, pomyślałem sobie, ubawiony rzadko widywana sceną.

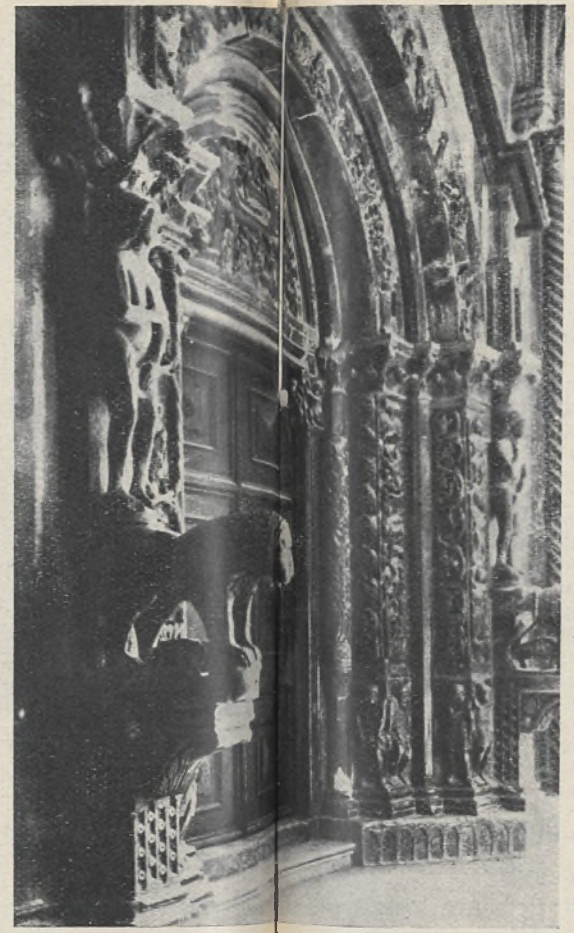
Po długich godzinach jazdy, minąwszy Czechosłowację i Węgry, dotarłem do serca Jugosławji — Belgradu, Beogradu, czy Białogrodu, jak kto woli, a celu mej wędrówki.

W pierwszem przelotnem spojrzeniu, to, bądź co bądź, stołeczne miasto nie zaimponowało mi w niczem. Przypominało dziwnie naszą Częstochowę czy Tarnów. Ale tylko na pierwszy rzut oka. Bo w rzeczy samej Belgrad, aczkolwiek nie podobny do żadnej ze znanych mi stolic, jest miastem ze wszech miar interesującem, o temperaturze dalekiego południa, temperamencie Wschodu i manierach Europy. Ten zbiorowy styl miasta ma swoje historyczne uzasadnienie. Ale o tem mówić nie będę. Chcę fragment Belgradu przedstawić takim, jakim go widziałem.

A więc rankami, aż do przedwieczerza, cichy, spokojny, jakgdyby rozleniwiony żarem słonecznym. Ożywia się dopiero po zachodzie słońca. Ulice wtedy, a specjalnie jedna, księcia Milanowa, czyli t. zw. Terazie, przybierają wygląd promenady. Nieprzerwanym sznurem ciągną tam i z powrotem tłumy dostatnio ubranych Serbów, gdzieniegdzie w zachowanych jeszcze strojach narodowych. Obieram sobie punkt obserwacyjny. Jest nim bardzo popularna, o niezbyt mile dla nas brzmiącej nazwie, kawiarnia „Moskwa", rozmieszczona na chodniku centralnej ulicy. Pragnienie, spowodowane upałem, gaszę chłodzącemi napojami we wszelkiej odmianie. Tymczasem ulicą powoli i dostojnie, parami i pojedyńczo, z żywością w ruchach i jakimś nieuchwytnym uśmiechem defilują piękne Serbki. Jeśliby przyszło do zwierzeń na temat osobliwości Belgradu i moich w tym względzie upodobań, to z całą szczerością i nie małym zachwytem musiałbym oświadczyć, że cokolwiek w Serbji, a Belgradzie specjalnie jest piękne — to najpiękniejsze są jednak kobiety. Wiem, że wygłosiwszy to zdanie, naraziłem się srodze rodzimej płci nadobnej. Wiem, że w modrych, czy nie modrych oczach Polki, straciłem wszystko. Wiem, że brak mi jest patrjotyzmu w tych rzeczach. Wiem, że ktoś, gdzieś do kogoś, będzie mówił z przekąsem: cudze chwalicie — swego nie znacie.. To wszystko wiem i nawet mię to trochę smuci. Ale cóż? Skoro się już raz z głębokiem przekonaniem rzekło, to choćby za cenę powrócenia do łask, odwołać niepodobna. O ciemnolica, czarnobrewa i czarnowłosa Jugosłowianko, gdybyś wiedziała, jak boleśnie okupić będę musiał zachwyt nad twoją urodą, to bez wątpienia posłałabyś mi jeden swój promienny uśmiech, jeden, dojrzany przelotem, a jakże pamiętny. Jeden tylko, choćby na pocieszenie. I gdy tak wonczas, broń Boże! okiem znawcy, za to w 100 proc. wrażliwego na piękno w każdej jego formie, śledziłem tę niezwykłą rewję przebogatą, zaklętą w kształty niewieściego uroku, to pomyślałem sobie, że chociaż Francuzi nie bez słuszności mówią, że blondynka jest podwójnie kobietą, to jednak ma niespodziana słabość do brunetek była silniejsza ponad to. Rozumie się, że tylko w danej chwili i przejściowo, bo w rzeczy samej odcień włosów nie może być walorem dominującym i decydującym.

I nagle zapragnąłem jeszcze raz choćby, dosłyszeć ten uśmiech, przecież skierowany nie do mnie, a w przestrzeń, uśmiech, który ma wyjaśnić tajemnicę Kali Megdanu. Ruszyłem w tłum gwarny, wesoły, rozbawiony, jakgdyby znajomy sobie. Djalektem, podobnym nieco do języka rosyjskiego, a miejscami do czeskiego, padały głośne, często udane, dowcipy. Odpowiadały im kaskady młodego, zdrowego śmiechu. Zresztą nie przerwana pogoda, zarówno w atmosferze, jak i u ludzi, jest cechą charakterystyczną tego ciekawego kraju. Mijałem z trudem średnio oświetlone ulice. Tłum, nie znalazłszy miejsca na chodnikach, okupuje jezdnie, co jest możliwe ze względu na mały ruch kołowy.

Szedłem długo w noc w pogoni za uśmiechem. Z jednej małej uliczki doszedł mię dźwięk nieznanej muzyki. Coś jakgdyby mazur, zaprawiony dumką ukraińską. Zaciekawiony, wszedłem do wnętrza. Ani dancing ani kawiarnia. Ogródek, przypominający warszawską Bagatelę i wino, jako napój uprzywilejowany. Siadłem przy jednym ze stolików. I tu śmiech niepowstrzymany, bezpośredni, szczery, niedystyngowany, panował niepodzielnie. Ale poszukiwanego uśmiechu nie dojrzałem. Wtem ze wszystkich stron rozległo się wołanie: kolo, kolo i bezzwłocznie opustoszały stoliki. Starzy i młodzi, kobiety i oficerowie, ująwszy się za dłonie w takt jednostajnej, przypominjącej Podhale, melodji, poczęli tańczyć, tworząc niedomknięte, stale zmienne, mniejsze lub większe koło. Byli w swoim żywiole, wykonując swój taniec narodowy.



Portal katedry w Trogirze.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, udałem się na zwiedzanie miasta, w tem złudnem przypuszczeniu, że może gdzieś, przypadkiem spotkam tę, której uśmiech prześladował mię nieprzerwanie.

Szedłem schludnemi ulicami o dużych wystawnych sklepach, w niepodzielnej władzy słońca, operującego przy bez mała 50 st. Ruch minimalny. Wtem usłyszałem za sobą głośny okrzyk: Sl[illegible]a gospodin. Ucieszyłem się z tego spotkania. Był to miejscowy dziennikarz, mój towarzysz podróży. Molim was — powiadam, co znaczyło — proszę was, panie — pokażcie mi coś osobliwego w tem mieście, w którem kobieta jest najatrakcyjniejszą ozdobą. Mój przypadkowy cicerone nie dał się długo prosić. W kilkugodzinnym spacerze zdradził mi wiele uroczych zakątków, odkładając zwiedzanie tego, co dało mi temat i tytuł do niniejszego feljetonu, na później. I któż mógł przypuszczać, że stanie się to wcześniej, niż zamierzałem, i w okolicznościach, które, gdybym żył w wieku XIX, to nazwałbym je romantycznemi.

W Belgradzie nie byłem sam, nic więc dziwnego, że po tak długiej wędrówce zapragnąłem towarzystwa blizkich i podzielenia się odniesionemi wrażeniami. Zbyt jednak wiele czasu nie było. Czekała nas czynność prawdziwie reprezentacyjna. Oczekiwałem jej z niecierpliwością. Miałem wreszcie okazję gościć u autentycznego króla.

Punktualnie o wyznaczonej godzinie, jakoże punktualność jest grzecznością królów, do sali, zapełnionej tłumnie przez byłych kombatantów państw koalicyjnych, wszedł Aleksander I, Pan i Władca zjednoczonej Jugosławji. Prosty i szczery w obejściu, podbija sobie serca nawet bardzo zdeklarowanych demokratów. Mówi dużo i chętnie. Wreszcie gościnnym gestem zaprasza do biesiadnych stołów. I tu zdawało mi się, że dojrzałem ten uśmiech, tak gorąco przeze mnie poszukiwany. Trwało to bardzo krótko i było tylko złudzeniem. Stanowczo jugosłowianki są piękne i nawet do siebie podobne w typie, ruchach i w tem jakiemś, nie dającym się określić, sposobie bycia, które je czyni tak bardzo odmiennemi od pięknych kobiet innych krajów.

Audjencja skończona. Doszły mię ostatnie dźwięki „Halki", granej przez orkiestrę zamkową na cześć polskiej delegacji.

Zapadł wieczór. Wyszedłem na ulicę, ćmiąc prawdziwego królewskiego papierosa... Porwał mię tłum, uwodząc z sobą, naprzód, bez celu.. W pewnej chwili zajaśniała mi z oddali tafla rzeki. To Dunaj, płynący tuż pod murami miasta, pociągający ciszą i łagodnym wietrzykiem, tak bardzo upragnionym w dusznocie południowego miasta. Wreszcie znalazłem się u progu Kali Megdanu.

Kali Megdan z turecka — pojedynek, stary fort, nazwany tak na pamiątkę walk z Turkami, dziś wspaniały park, przylegający z jednej strony do Dunaju z drugiej do murów fortecznych. Kali Megdan — ozdoba i duma Belgradu. Kali Megdan — miejsce rende-vous eleganckiego świata. Kali Megdan — urocze siedlisko w cieniu drzew nad modrym Dunajem.

Przez rozwartą bramę przelewały się tam i z powrotem tłumy roześmianej młodzieży. Ciążyła mi moja samotność. Oddany sam sobie i myślom, wspomniałem Łazienki. A jednak król Staś miewał dobre pomysły... Choćby za to jedynie wart jest życzliwej pamięci, szczególnie tych wszystkich, którzy w Łazienkach wyśpiewali swe pierwsze wyznania miłosne. Stanislaus Rex stanowczo powinien być jakimś nieoficjalnym patronem zakochanych... Bo gdzież tak, jak w Łazienkach, sprzyja natura dwojgu sercom między ustronne ławki zabłakanym.

O nich pamiątki, obrazy, wspomnienia... Przecież nie zawsze, jak tu, bywało się tylko statystą... Zresztą jest sobie, taka niefrasobliwa piosenka, która mówi wszystko:

W Łazienkach słońca
blask przyświecał nam.
Panienka mała też siedziała tam,
A każdy z chłopców jej
całusa skradł.
W Łazienkach zwyczaj
ten znany od lat...

Przyznaję, że tym refrenem popełniłem pewną niedyskrecję, a nawe nielojalność... „Odpowiednie czynniki" gotowe uwierzyć moim słowom i wydać „odnośne zarządzenia", narażające elektrownię miejską na zwiększenie mocy... Ja się na tem nie znam... Ale skądinąd mi wiadomo, że w tych razach elektryczność musi być... Najbardziej miarodajną będzie opinja zainteresowanych. Niech mówią, jeśli mówić zechcą... Ja natomiast wrócę do Kali-Megdanu..



Klig pod Splitem.

Krążyłem po alejach, jak klacz półkrwi po ujeżdżalni. Wprost niezbędny był mi doping. Na drodze ujrzałem grupę rozbawionych dzieci, których późna pora nie zdołała wypłoszyć z parku. Jakaś bona, zajęta dorodnym podoficerem gwardji, nie spostrzegła zapadającego zmierzchu. I tak bywa. Wszystkie bony we wszystkich miastach mają jednakie słabości i gusta... Wreszcie dosłyszałem:

— Milanko, już późno, pójdziemy do domu.

— Jeszcze chwilkę — zadźwięczał sopranik — pan ratnik (wojskowy) jest taki miły, a tobie się śpieszy...

„Dziecinny argument" był bardzo przekonywujący. Uderzała mię w tem wszystkiem „kobiecość" może ośmioletniej dziewczynki.

Poszedłem dalej. Ciekawy byłem zwyczajów i obyczajów Kali Megdanu.

Szukałem ławki i w tej chwili dojrzałem uśmiech ,tak długo przeze mnie szukany. Nie miałem nic do stracenia. Jako cudzoziemcowi, dla których Serbowie mają wiele z tej serdecznej, prawdziwie słowiańskiej, gościnności, poznanie pięknej pani nie było zbyt trudne. Byłem dumny z pomyślnych skutków poszukiwań.

Wreszcie przestałem być samotny w tym parku, gdzie tylko „parki" mają rację istnienia.

Długo ważyłem pierwsze słowa rozmowy. Nie chciałem jakąś niezręcznością płoszyć tego barwnego motyla, dla którego sieci może nie mogły być nawet pającze...

Rozmowa, początkowo konwencjonalna, rychło zmieniła się w serdeczną pogawędkę. Pozbierałem swe wszystkie rozproszone myśli, będące na „spocznij". Zdawałem sobie sprawę ze swej, bądź co bądź, „propagandowej" roli... Byłem pierwszym Polakiem (można być pierwszym!), którego poznała. Jej wiadomości o nas streszczały się do takiego powiedzenia:

— O, ja wiem, Polacy słyną z galanterji, prawie wszyscy mają krucze włosy i noszą binokle.

Na takie dictum nie umiałem zachować powagi. Przecież swoim wyglądem (a bodajże i formą poznania) zaprzeczałem jej wszystkim określeniom. Nie noszę binokli, a czarne włosy, mimo tylu poczynionych wysiłków, nie chcą mi jakoś wyrosnąć... Długo objaśniałem „genre" Polaków. Przychodziło mi to z wielkim trudem. Przecież jest nas tylu i każdy inny... Jak znaleźć wspólną formułę?... Ograniczyłem się tedy do charakterystyki powierzchownej (raczej powierzchowności). A kiedy dostatecznie ośmielony łaskawością poznanej nieznajomej, spytałem, ot tak, z prostej ciekawości, czy jest panną, wdową, rozwódka, mężatką może, ujrzałem dwa rzędy białych zębów i doszedł mnie śmiech, śmiech do rozpuku.

— Ja? ja wolna jak Ameryka — padło naiwne, szczere wyznanie. Uderzyła mnie jego niezwykła forma i dziwnie poczułem się Kolumbem. Odkryłem wolną a piękną kobietę w ustroniach Kali Megdanu.

Jakże byłem wdzięczny przypadkowi. I od tej odkrywczej chwili Kali Megdan urósł w mych oczach do symbolu wolności i takim pozostał po dzień dzisiejszy.



Widok z okolic Belgradu.



Zachód słońca.



Hoar.

Teatr Narodowy

Bruno Winawer. „Zły szeląg", komedja w 3 aktach. Reżyserja Ludwika Solskiego. Dekoracje Wincentego Drabika.

Nie mogę się oprzeć skłonnościom „wpływologicznym". I — po krótkim namyśle — wywodzę Bruna Winawera w prostej linji z Bernarda Shawa. Nie mam możności szczegółowego uzasadnienia mojej tezy na tem miejscu. Proszę chwilę samemu pomyśleć — każdy sam dojdzie do tegoż wniosku.

„Zły szeląg" — dzieje pesymistycznego pechowca (czy pechowego pesymisty), to znów zbiór błyskotliwych aforyzmów, powiedzonek, dowcipów: wszystko w typowym, wielce swoistym, oryginalnym stylu winawerowskim. Jest ich tyle, są tak świetne, pyszne, wyborne, że o resztę... mniejsza... Są może tylko zanadto... warszawskie... O, bo Winawer, mimo wszystko, jest pisarzem ściśle warszawskim. Mógłby napisać znakomite dzieło p. t. „Palę Warszawę". Byłaby to z pewnością lektura niezwykle zajmująca.

Pozatem jest Winawer doskonałym „przewodnikiem"... nowoczesności, dnia dzisiejszego, nawet jutrzejszego, lub zgoła pojutrzejszego. Odczuwa znakomicie, lepiej bezwarunkowo od wszystkich bez wyjątku kolegów „miejscowych", pulsujący rytm czasu. Jego młodzież w „Złym szelągu" — to wyśmienite kontr-efekty naszej „nadziei narodu", o mózgach pełnych imion aktorów filmowych, sportowcóów, nazw aut, przebojów tanecznych, materjałów konfekcyjno-galanteryjnych, tak pełnych, że na nic innego już niema miejsca...



Gromnicka i Orwid (fot. Malarski)
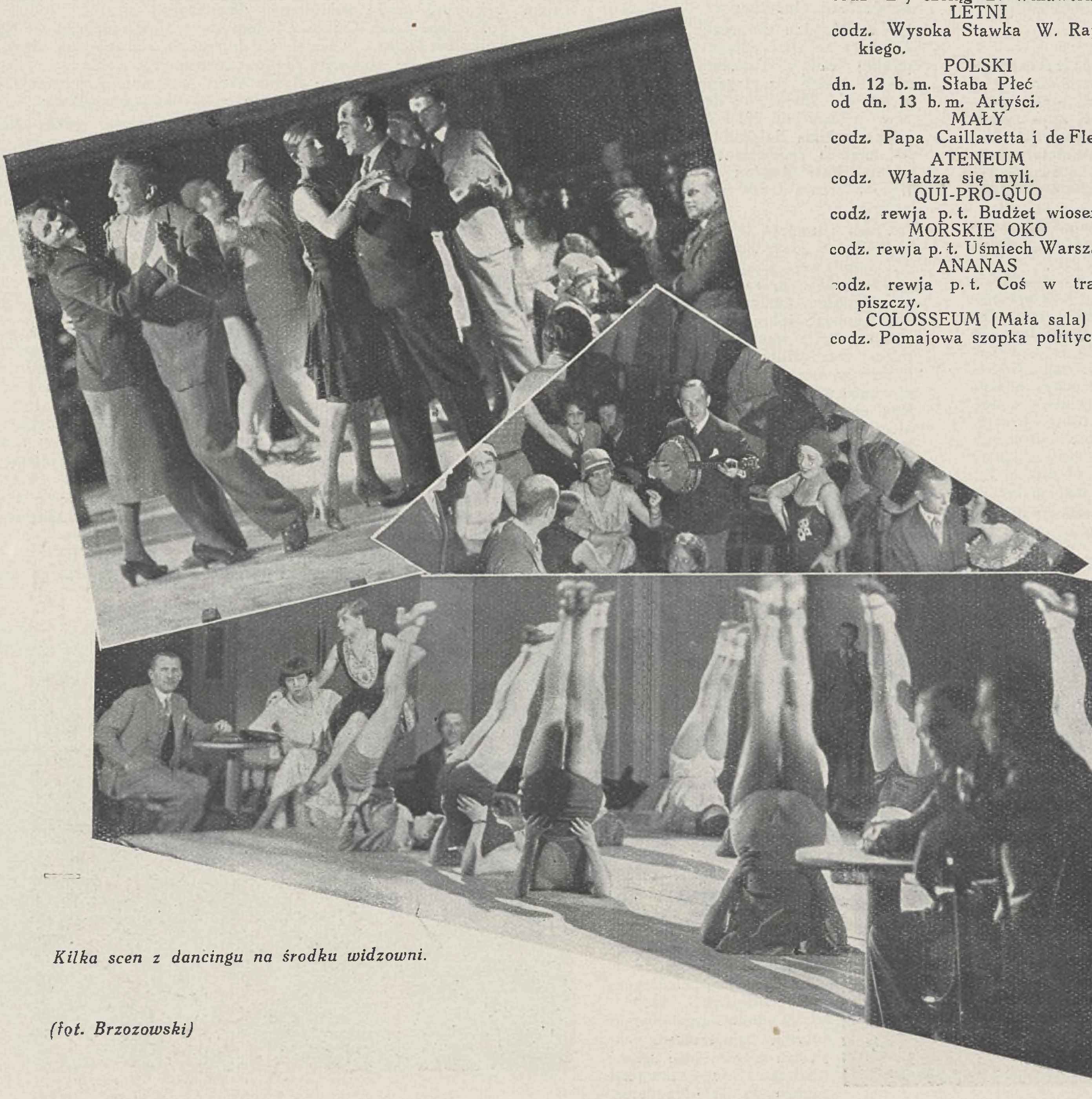
Pozatem jest Winawer jednym z unikatów wśród autorów dramatycznych, dla których intryga miłosna nie jest w sztuce wszystkiem. Nie wyklucza jej zupełnie, ale używa jedynie jako drugorzędnego środka pomocniczego. Dobrze, że choć jeden taki się znalazł... Chciałoby się przecież raz sztuki, czy filmu, czy powieści bez... miłości...

Warto iść na sztukę Winawera choćby dla koncertowej gry całego zespołu. Na pierwszem miejscu musimy postawić znakomitą kreację Kurnakowicza. Choć to tylko epizod, ale mistrzowski. I nareszcie Kurnakowicz ukazał się nam w zupełnie innej, odmiennej postaci... Brawo... Bardzo głęboko ujął swą trudną rolę Gawlikowski. Grał z prostotą, naturalnie, a niesłychanie przekonywująco. Dobre sylwetki charakterystyczne stworzyli Orwid i Skarzyński. Znakomita była, jak zwykle, Gromnicka, bardzo na miejscu Jarszewska, prześliczne — Ankwiczówna i Zawadzka. W malutkim epizodziku zwrócił na siebie uwagę Modzelewski. Reżyserja Solskiego i dekoracje Drabika ponad wszelkie pochwały.

Henryk Liński.

„Codziennie dancing"
w Morskiem Oku

W „Morskiem Oku" wre praca gorączkowa. Dyr. Włast z reż. Waldenem pragną Warszawę zadziwić widowiskiem zgoła niezwykłem. Nazywać się to będzie „Codziennie dancing". Widownia na scenie, scena na widowni i... codziennie dancing. Na tym dancingu zaś rozgrywać się będzie dramat serc... przeplatany, jak na dancingu, wszelakiemi „występkami". Naszemu fotografowi udało się podpatrzeć próbę tego intrygującego - tajemniczego dziwowiska, które wzbudziło tak wielkie zainteresowanie, że sekretarz „Morskiego Oka", p. J. Oldak, nic teraz nie robi, tylko wciąż odpowiada na telefony: „A co?", „A jak?" „A kiedy?"



Kilka scen z dancingu na środku widzowni.

(fot. Brzozowski)

Repertuar teatrów

WIELKI
dn. 12 b. m. Konrad Walenrod.
dn. 13 b. m. Lohengrin z gośc. występem N. Ardelli oraz T. Mazurkiewicza.
dn. 14 b. m. Święto Ognia.
dn. 15 b. m. Tosca z gośc. wyst. N. Ardelli oraz T. Mazurkiewicza.
dn. 16 b. m. przedstawienie zawieszone.

NARODOWY
codz. Zły szeląg B. Winawera.

LETNI
codz. Wysoka Stawka W. Rapackiego.

POLSKI
dn. 12 b. m. Słaba Płeć
od dn. 13 b. m. Artyści.

MAŁY
codz. Papa Caillavetta i de Flersa.

ATENEUM
codz. Władza się myli.

QUI-PRO-QUO
codz. rewja p. t. Budżet wiosenny.

MORSKIE OKO
codz. rewja p. t. Uśmiech Warszawy

ANANAS
codz. rewja p. t. Coś w trawie piszczy.

COLOSSEUM (Mała sala)
codz. Pomajowa szopka polityczna.

Korzystna i celowa lokata oszczędności

Emitowana ostatnio przez Rząd Premjowa Pożyczka Budowlana, wyłożona do subskrypcji w dniu 2 czerwca b. r., została pokryta z olbrzymią nadwyżką i należy przypuszczać, że przeprowadzona w związku z tem repartycja zgłoszeń umożliwi tylko częściowe pokrycie zapotrzebowania.

Ten niewątpliwie ogromny sukces pożyczki należy podkreślić specjalnie, ma on bowiem głębokie znaczenie społeczno-gospodarcze. Świadczy to, że społeczeństwo nasze doceniło całkowicie znaczenie ożywienia życia gospodarczego pod postacią wzmożenia ruchu budowlanego, co pociągnie za sobą z kolei wzmożenie tętna pracy całego szeregu gałęzi przemysłowych, ściśle związanych z budownictwem.

Nowo emitowana pożyczka ma i to doniosłe znaczenie, że spełniła rolę akumulatora drobnych kapitałów, które, będąc rozproszkowane w rękach licznych jednostek, nie były w stanie odegrać roli twórczej na większą skalę i leżały do pewnego stopnia bezczynnie. Zmobilizowane dzięki pożyczce, te drobne kapitały, spełnią obecnie rolę twórczą, a uruchomiona kwota 50 milj. zł. przyczyni się wydatnie do złagodzenia sprawy mieszkaniowej w większych skupieniach ludności, a co ważniejsze, kwota wspomniana, dzięki jej specjalnemu przeznaczeniu pozwoli zatrudnić wielu bezrobotnych, poszukujących pracy.

Nie można również pominąć innego zjawiska, które uwypukliło się po emitowaniu pożyczki budowlanej: mamy tu na myśli niezwykle szybkie tempo, w jakiem społeczeństwo pokryło i to z tak wielką nadwyżką, emitowaną pożyczkę.

Oczywiście, że na fakt powyższy złożyły się nietylko pobudki natury społecznej. Odegrały tu pewną i to znaczną rolę korzyści osobiste, które posiadaczowi zapewniają obligacje tej pożyczki, a mianowicie: pełne zabezpieczenie złożonych oszczędności, zagwarantowanych majątkiem Skarbu Państwa, płynność lokaty, to znaczy możność wycofania w każdej chwili złożonych oszczędności, a wreszcie szanse wygrania premji.

Wszystkie te czynniki złożyły się na to, że suma 50 milj. zł., jak na nasze stosunki zdawałoby się dość poważna, okazała się niewystarczająca dla pokrycia zapotrzebowania. Stąd wniosek, że społeczeństwo nasze posiada poważne nadwyżki gotówkowe, które zdolne byłoby i skłonne umieścić dużo większą kwotę na nisko oprocentowaną, ale pewną i płynną lokatę.

I tu nasuwa się pytanie, gdzie należy umieścić tę nadwyżkę gotówkową, która nieraz leży bezczynnie?

Gdzie znaleźć lokatę pewną, godziwie oprocentowaną, płynną i dającą możność wygranej? Innemi słowami, czy jest lokata również pewna i wygodna dla poszczególnego posiadacza oszczędności, jak obligacje Premjowej Pożyczki Budowlanej, którąby jednocześnie służyła celom nietylko poszczególnych jednostek, ale miałaby za zadanie zasilanie życia gospodarczego w znaczeniu ogólnospołecznem?

Na te pytania należy odpowiedzieć twierdząco, bowiem tym warunkom czyni zadość lokata kapitałów na książeczkach oszczędnościowych (również w złotych w złocie) P. K. O., instytucji, cieszącej się słusznie największą popularnością i zaufaniem społeczeństwa.

Daje ona swoim uczestnikom największe udogodnienia, gdyż przyjmuje wkłady już od *jednego złotego*, które można składać i podejmować bez względu na miejsce wystawienia książeczki oszczędnościowej w każdym urzędzie pocztowym.

Odmładzanie naskórka

Uwielbienie dla piękna kobiety wypowiada się w kulcie jej *duchowych właściwości kobiecych*, tudzież harmonji cech *prawdziwej cery*. Rzadko atoli napotyka się dziś na całokształt zalet normalnej cery, a przyczyna smutnego tego objawu tkwi przeważnie w nieracjonalnym doborze i niestosownem zastosowaniu preparatów kosmetycznych do *zapobiegawczego* pielęgnowania urody. Wszak prawidłowa cera nie wymaga ani ożywiani, ani też odtłuszczania, lecz wyłącznie zapobiegania *twardnieniu naskórka*, celem odsłaniania soczystej, młodocianej warstwy komórek. Zimna woda sprzyja twardnieniu naskórka, również słońce, gliceryna, wazelina, pudry metaliczne oraz kremy z zawartością nadmiaru wody przyśpieszają marszczenie się skóry, zwłaszcza ostatnie, jako podkład pod puder stosowane. Myć należy przeto gorącą wodą i otrąbkami *migdałowemi* D-ra Lustra, po powleczeniu twarzy na 10 minut przed umyciem — *kremem „Mira"* D-ra Lustra. Do s t a ł e g o zmiękczania naskórka nadaje się znakomicie: puder *egzotyczny* D-ra Lustra.

Dr. Z. B.

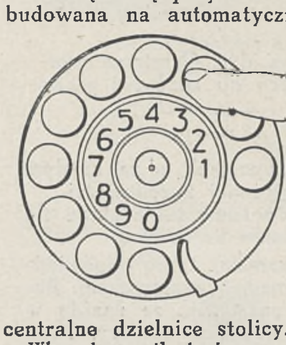
Automatyczne centrale telefoniczne w Warszawie

Przeszło dwa lata systematycznie przygotowywała się „PASTA" do realizacji szeroko zakrojonego planu zautomatyzowania stołecznej sieci telefonicznej.

W rezultacie tej wytężonej pracy jeszcze w bieżącym roku uruchomione będą dwie centrale automatyczne, mianowicie centrala dla południowej dzielnicy Warszawy — przy ul. Pięknej 19 i centrala dla całej Pragi — przy ul. Ząbkowskiej 15.

Północne dzielnice Warszawy będą posiadały centralę przy ul. Tłomackie 10. Budowa gmachu dla tej centrali postępuje bardzo intensywnie.

Dotychczasowa ręczna centrala telefoniczna, mieszcząca się przy ul. Zielnej 37, zostanie przebudowana na automatyczną i obsługiwać będzie



centralne dzielnice stolicy.

W celu uniknięcia przerwy w komunikacji telefonicznej, automatyzacja sieci będzie dokonywana etapami.

Przed wprowadzeniem automatycznych łączeń dotychczasowe aparaty telefoniczne, przy łączone do centrali automatycznej, zostaną zaopatrzone w specjalne metalowe tarcze, posiadające dziesięć otworów, oznaczonych cyframi (1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9 i 0).

Tarcza taka służyć będzie dla nadawania poszczególnych cyfr żądanego numeru, które dokonywa się w sposób następujący: wkłada się palec w otwór tarczy, oznaczony pierwszą cyfrą żądanego numeru, poczem przekręca się tarczę w prawą stronę do punktu oparcia; po dokonaniu tego palec należy wyjąć i umożliwić obrócenie się tarczy z powrotem do pierwotnego położenia (rys. 1, 2 i 3), w ten sposób nadana jest pierwsza cyfra żądanego numeru. Identycznie nadaje się kolejno pozostałe cyfry numeru.

Jeśli, naprzykład, potrzebujemy uzyskać połączenie z aparatem Nr. 380-85, nadajemy opisanym wyżej sposobem najpierw 3-kę, potem 0, jeszcze raz 0, 8-kę i wreszcie 5-kę.

Przed nadawaniem cyfr żądanego numeru należy po zdjęciu słuchawki przekonać się, czy centrala przygotowana jest do przyjęcia nowego numeru.

Gotowość centrali do przyjęcia nowego numeru da się słyszeć w słuchawce jako specjalny sygnał akustyczny i dopiero wówczas należy rozpocząć nadawanie numeru.

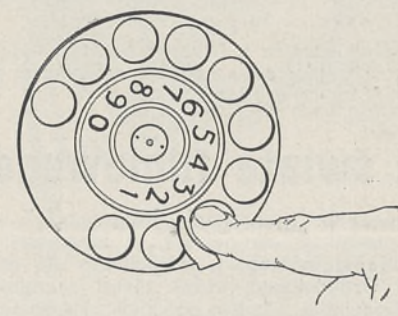
Przyśpieszanie zgłoszenia się centrali zapomocą stukania o widełki lub haczyk aparatu telefonicznego byłby tylko przeszkodą do zgłoszenia się centrali, reagującą na stuk o widełki lub haczyk, jak na sygnał rezygnacji z rozmowy.

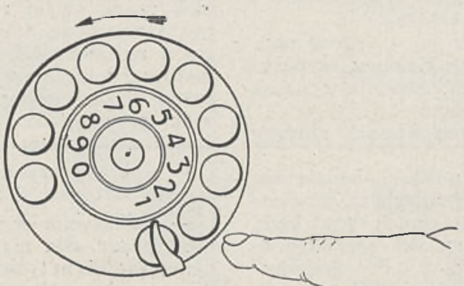
Centrala, gotowa do przyjęcia nowego numeru, odzywa się po zdjęciu słuchawki w parę sekund.

Po nadaniu wszystkich cyfr żądanego numeru, należy oczekiwać na specjalne sygnały centrali, mianowicie — sygnał akustyczny kilkakrotnie powtarzany w odstępach około 5 sekund oznacza, że żądany numer jest wolny, jednocześnie dzwonek wywołanego aparatu wielokrotnie dzwoni tak długo, dopóki nie zgłosi się wywołana osoba lub wywołująca nie powiesi słuchawki.

Krótki, w 5-sekundowych odstępach, sygnał oznaczać będzie, że żądany numer jest zajęty. Należy wówczas niezwłocznie położyć słuchawkę na widełki lub zawiesić ją na haczyk.

Mnóstwo precyzyjnych mechanizmów i skomplikowanych urządzeń na centrali automatycznej dla poszczególnego aparatu umożliwia łączenie się bez pośrednictwa telefonistki.





Będzie to wielką dogodnością, ponieważ uniknie się w ten sposób wielu pomyłek i wynikających stąd przykrości i straty czasu. Będziemy sami kierowali procesem łączenia i tylko swej własnej nieuwadze będziemy zawdzięczali mylne połączenia.

Mechanizm automatu jest nieomylny!

Jakże więc dokonywa się proces łączenia?

Otóż linja każdego aparatu telefonicznego posiada na stacji indywidualne elektromagnesy, zwane przekaźnikami, które reagują natychmiast po zdjęciu słuchawki i pracują przez cały czas trwania połączenia.

Pozatem poszczególna linja telefoniczna przyłączona jest do nieizolowanych drutów bronzowych, przyczem każdej linji aparatu odpowiadają trzy druty.

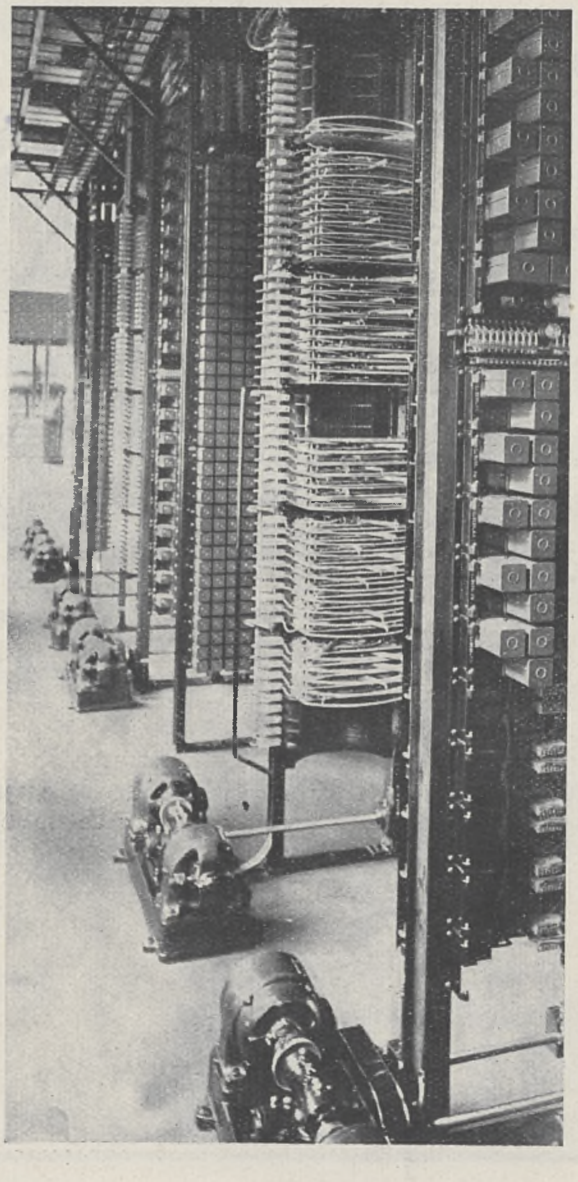
Druty 20 aparatów telefonicznych ujęte są w t. zw. ramkę; dwadzieścia pięć takich ramek stanowi grupę 500 aparatów.

Każdy aparat posiada swe druty w dwóch grupach — wejściowej i wyjściowej, — pierwsza z nich służy do przyjęcia przez centralę zgłaszającego się aparatu, w drugiej zaś grupie odbywa się połączenie z żądanym numerem.

Łączenie uskutecznia się zapomocą łączników.

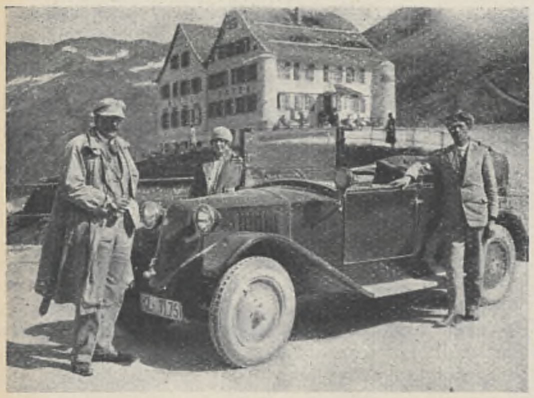
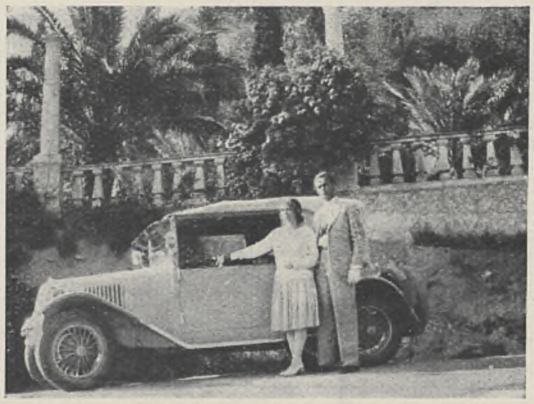
Łącznik zaopatrzony jest w ramię, które może wykonywać ruch obrotowy i posuwisty. Pewną liczbę takich łączników umieszcza się naprzeciwko wskazanych wyżej grup zarówno wejściowych, jak i wyjściowych.

Opis łącznika i jego funkcjonowania podamy w jednym z najbliższych numerów.



Fragment centrali automatycznej z łącznikiem zastępującym telefonistki.

Nasi turyści zagranicą

Pani Marja Malicka i Zbyszko Sawan swoją Tatrą zajechali aż na Sycylję, zaś dyr. Gerstman również Tatrą wspiął się na Przełęcz Furka w Szwajcarji, jedną z najtrudniejszych do zdobycia przez samochody.

Ze świata filmowego

Zainteresowani projektami „Paramonutu", dotyczącemi produkcji europejskiej, a zwłaszcza polskiej produkcji mówionej, zwróciliśmy się do reż. Ryszarda Ordyńskiego, który został zaangażowany na kierownika filmów polskich „Paramountu", z prośbą o bliższe szczegóły.

— Uważam pomysł Paramonutu — mówi nam reż. Ordyński — za niezmiernie ciekawy eksperyment. Widzę w tem również liczenie się z naszą kulturą, z naszemi możliwościami.

— Jaki udział wezmą w tych filmach aktorzy polscy?

— Obsada filmu o wersji polskiej będzie się składać całkowicie z aktorów polskich. Zapewne z aktorów wyłącznie prawie teatralnych, gdyż będą to filmy stuprocentowo mówione. Na pierwszy ogień pójdzie zapewne dramat p. t. „Pół godziny" według słynnej powieści angielskiej. Film ten odegrany zostanie w kilku wersjach, a za każdym razem odegrają go aktorzy innej narodowości.

— Czy nie sądzi Pan, że filmy takie staną się groźną konkurencją dla filmów krajowych.

— Nie. Filmy te będą przecież tylko odpowiednikiem dawnej produkcji niemej, zagranicznej. Posiadają jeszcze ten plus poza tem, że znajdą w nich pracę polski reżyser i polscy aktorzy. Poza pracą zaś będą mieli jeszcze możność zapoznania się z najnowszemi zdobyczami technicznemi kinematografji, za granicą. Muszę przyznać, że wykańczane obecnie dla prac Paramountu studjo w Paryżu, przedstawia się wręcz imponująco. Jest ono ostatnim wyrazem doskonałości technicznej.

— Jakie wrażenie odniósł Pan podczas swej ostatniej bytności w Ameryce?

— Odczuwam podziw dla amerykańskiego sposobu pracy, dla niezwykłej szybkości decyzji, dla umiejętności natychmiastowego przystosowania się do nowych możliwości i nowych wymagań. Odczuwa się to, zwłaszcza w ostatnich czasach, gdy zmiany, jakie wprowadza wciąż film dźwiękowy, powodują konieczność coraz to innych eksperymentów. Charakterystyczną cechą poczynań amerykańskich jest powaga. Tam pracują wszyscy „na poważnie". Raporty, wykresy, statystyki, biuletyny, jak w naukowej instytucji. Wspaniała organizacja, rozmach, no i... odpowiednie kapitały.

— Co, według Pana, wyłoni się z dzisiejszego choasu filmów dźwiękowych?

— Trudno to przewidzieć. Będąc teraz w Paryżu, oglądałem dziennie po kilka obrazów dźwiękowych i przekonałem się, jakie są w tej dziedzinie ogromne możliwości. Przypuszczam, że utrzyma się nowy typ filmu mówionego, będący raczej teatrem w montażu filmowym. Mnie osobiście odpowiada najbardziej film dźwiękowy, częściowo mówiony. Nie lubię zaś filmowanych operetek, rewji i t. p. — to mnie nudzi.

— Jakie są Pana zamiary, dotyczące produkcji krajowej?



Ryszard Ordyński.

— Wytwórnia „Blok", której jestem współudziałowcem, przystępuje w połowie czerwca do zdjęć. Rozpoczynamy filmem „Janko Muzykant" według scenarjusza Ferd. Goetla, osnutym na noweli Sienkiewicza. Zamierzamy następnie w tym roku wyprodukować jeszcze jeden film.

— A teraz jeszcze kilka słów o produkcji polskiej wogóle.

— Przechodzimy w Polsce kryzys. Oprócz braku kapitałów, daje nam się jeszcze we znaki brak środków technicznych. Uważam, że wszystko niemal, co się u nas robi, jest poniekąd nadzwyczajnością, wobec wyjątkowo ciężkich warunków, w jakich musi pracować polski reżyser, operator i aktor.

Z. D.

WIELCY SZALEŃCY

(Dokończenie ze str. 6-ej)

Genjusz przychodzi na świat jakby nie w porę. Zastaje otoczenie nie przygotowane na jego przyjęcie. Jego myśli lub utwory spotykają się z niezrozumieniem, oporem, a nieraz nawet z kpinami. Staje się odludkiem lub też dziwakiem. Ludzie są obcy dla niego. Wytwarza się dysonans. Genjusz szuka zapomnienia — czasem chwyta się narkotyków. Ale świat nie zmienia się, warunki życiowe stają się niemożliwe, rozdźwięk zwiększa się, otoczenie dusi go. Genjusz rzuca się, szuka wyjścia, wreszcie staje na progu obłąkania. Czasem przeczuwa to. Często zdaje sobie sprawę ze swego stanu. Lecz jego drugie, wyższe „ja" nie ustępuje. On musi tworzyć. I tworzy. Nieraz pada ofiarą, ale wykonuje do końca swe posłannictwo, spełnia swój obowiązek.

I w tym wypadku genjusz pozostaje genjuszem. W dalszym ciągu będzie on zwiększał potęgę myśli ludzkiej. Tylko on będzie kierował losami świata.

Schylmy więc czoło przed Wielkością.

Rozrywki umysłowe

LOGOGRYF

bez, cał, czło, e, el, heu, i, ki, ki, ko. kus, lak, luń, ło, po, rys, tur, wie, wiek, zam, zi.

Z powyższych sylab ułożyć 10 wyrazów według podanego znaczenia. Początkowe i końcowe litery słów, czytane z góry ku dołowi, utworzą nazwiska dwuch sportsmanów polskich.

Znaczenie słów

1. Członek jednego z narodów europejskich.
2. Wykrzyknik łaciński.
3. Kamień drogocenny
4. Figura geometryczna
5. Pojęcie matematyczne (wspak)
6. Gatunek futra
7. Miasto w Polsce
8. Roślina południowa
9. Homo sapiens
10. Jezioro w Afryce.

KWADRAT MAGICZNY

Rekonstrukcja.

d				i
	a		i	
		a		
	i		o	
i				a

Puste kratki wypełnić literami tak, aby utworzył się kwadrat magiczny.

Znaczenie słów

1. Inaczej dzieli na małe części
2. Broń
3. Kamienie drogocenne
4. Drobna moneta
5. Imię żeńskie

NAGRODY

Za rozwiązanie logogryfu i kwadratu magicznego przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

zł. 25

oraz 5 książek beletrystycznych. Termin nadsyłania rozwiązań do dnia 25 czerwca b. r. Rozwiązania nadsyłać należy pod nowym adresem redakcji: Warszawa, ul. Chmielna 35, m. 3.

Nazwiska nagrodzonych za rozwiązanie zadań z n-rów poprzednich ogłoszone będą w następnym numerze.

TURNIEJ SZACHOWY O PUHAR NARODÓW W HAMBURGU

odbędzie się w dn. 12—27 lipca r. b. Weźmie w nim udział 19 państw, a mianowicie: Anglja, Austrja, Belgja, Czechosłowacja, Danja, Francja, Hiszpanja, Holandja, Islandja, Litwa, Łotwa, Niemcy, Norwegja, Polska, Rumunja, Stany Zjednoczone Am. Półn., Szwecja, Szwajcarja i Węgry.

Prawdopodobny skład polskiej reprezentacji: Tartakower, Przepiórka, Makarczyk, Regedziński, Frydman.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z Nr. 17.

H	o	o	v	e	r
u	t			d	z
g	o	t	o	w	e
e		a	t	i	w
n	e	r		n	n
b	a	d	y		y
e		i	w	o	
r	z	e	z	a	ć
g	r	u	s	z	a

BURZA

PHILIPS OPPENHEIM (22)

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

W Monte Carlo odbywa się Kongres Wielkiego Traktatu Narodów, na którym postanowiono zaprosić Amerykę do udziału w pracach. Misję tą powierzono Grantowi Slattery. Jednakże, na terenie amerykańskim bruździą mu Niemcy i Japończycy, w osobach niejakiego Korneljusza Blunna i hr. Itasha. Grant udaje się w podróż do Londynu, do premjera Wielkiej Brytanji, lorda Yeovil.

Usłuchał ją natychmiast. Pokojówka i steward przyszli mu z pomocą. Wreszcie Gertruda orzekła, że już wszystko w porządku i świta oddaliła się. Pozostał tylko Grant, który usiadł obok jej fotelu.

— Obawiam się, że pani chorowała — zaczął.

— Tak jest. Rzeczywiście byłam chora. Jakiś rozstrój nerwowy, któremu towarzyszyło osłabienie serca. To wszystko, co lekarz mógł skonstatować. Ja postawiłabym inną diagnozę.

— Niech pani tego nie czyni, Gertrudo. — Przyjrzał się jej z uwagą.

Miała zapadłe policzki, świeżość jej cery znikła, oczy jakby wyblakły, była wątła i zbiedzona.

— Niech pan nie przypuszcza ani na chwilę, że mam zamiar czynić panu wyrzuty. Niema nic głupszego na świecie, jak kobieta, która wyrzuca mężczyźnie, że nie dba o nią. Przecież to nie pana wina, Grant, że nie możesz mnie kochać. To wyłącznie wina mojej pewności siebie i mego mylnego doświadczenia. Jakiś idiota napisał kiedyś, że miłość rodzi miłość i ja, głupia, sądziłam, że zarzuciwszy ręce na twoją szyję, przeleję w ciebie moje uczucia. Byłeś bardzo uprzejmy, Grant, i czyniłeś, co mogłeś, aby mnie nie zrazić. Lecz miłości nie było u ciebie ni źdźbła. Zagrałam swą partję i... przegrałam.

— To straszne, co mówisz, Gertrudo.

— To straszne, bo jest prawdziwe — ciągnęła dalej. — Mamy jedną rzecz wspólną. Oboje lubimy prawdę. Błagałam Boga, abyśmy jakoś się mogli porozumieć i szczęśliwie, nadeszła taka chwila. Teraz już oboje doskonale się zrozumiemy.

— Byłem podły — wyjąkał — próbowałem, Gertrudo.

— Zbyt mocne potępienie — zaśmiała się gorzko. — I to wszystko prawda, bezwzględna prawda. Próbowałeś. Obserwowałam cię, jak próbowałeś. Widziałam twoje wysiłki. Nie oszukiwałeś mnie ani przez chwilę. To ja powinnam raczej tłumaczyć się przed tobą...

— To wszystko strasznie przykre, Gertrudo.

— Nie, Grant. Zaraz ci wszystko wytłumaczę. Pomimo mojego upokorzenia, zadowolona jestem, zadowolona, że sytuacja się wyjaśniła. Byłam niespokojna i nieszczęśliwa, póki wierzyłam, że potrafię odzyskać twoją miłość. Teraz jestem co dzień spokojniejsza i bardziej zrównoważona. I wyobraź sobie, Grant, że nie żałuję wcale mego eksperymentu... Ale już dosyć. Proszę mi teraz poprawić mój pled, o tak. Oczywiście, nie wyobrażaj sobie, że będziemy mogli być kiedykolwiek przyjaciółmi. Mój sentymentalizm nie idzie tak daleko. Na naszych stosunkach leży jakiś cień i, oczywiście, już raz na zawsze. Ale to nie przeszkadza, abyś poprosił stewarda o filiżankę bulionu dla mnie.

— Gdzie byłaś, Gertrudo, i dokąd jedziesz teraz? — zapytał Grant, wykonawszy uprzednio jej zlecenie.

— Byłam w New Hampshire, u jakiejś mojej ciotki, zaniedbanej przez rodzinę. Prześliczna posiadłość, otoczona wzgórzami. Dostałam się tam przypadkowo.

— A teraz?

— Mam plany, ale nie zupełnie jeszcze zdecydowane. A teraz poproszę o moją książkę i niech pan sobie absolutnie nie przeszkadza. Dowidzenia.

Grant wybrał inny pokład do swojej samotnej przechadzki. Poczuł ulgę po rozmowie z Gertrudą. Męski egoizm wziął górę. Poczuł się wolny i swobodny. Czy może jednakże pretendować do serca i ręki Zuzanny? Oszkalowano go przecież, czy Zuzanna zechce go zrozumieć? Wierzył jednakże w jej zdrowy rozsądek.

Przed wieczorem odwiedził raz jeszcze Blunna i znalazł go już w nieco lepszym stanie. Przez sekundę tylko owładnęła nim słabość i wyszeptał:

— I pomyśleć tylko, że trzeba będzie jeszcze wracać.

— A więc powróci pan jeszcze do Stanów? — spytał szybko Grant.

Blunn opanował się natychmiast:

— Mam zbyt wiele spraw, aby wyjechać w tej chwili. Być może, że wrócę zaraz, możliwe, że dopiero za parę miesięcy. Nie zostanę długo w Anglji. Nie lubię jej. Kocham mój kraj i Amerykę. Nie mogę mówić więcej, to strasznie wyczerpuje. Pana zdrowy wygląd napawa mnie zazdrością. Niech pan tu jeszcze wróci, przyjacielu. Müller!

Grant odszedł. Miał przed sobą bardzo słabego i bezradnego Blunna. Lecz na jak długo?

ROZDZIAŁ XXXIX.

Natychmiast po przyjeździe do Londynu złożył Grant wizytę własnemu ambasadorowi, załatwił formalności w celu uzyskania audjencji u lorda Yeovila, który zaprosił go do gmachu prezydjum, na godzinę szóstą po południu. W międzyczasie udał się jeszcze do attache wojennego, a punktualnie o szóstej zjawił się na Downing Street, gdzie przyjął go sekretarz lorda Yeovila, dobrze znany mu Artur Lymane.

Młody człowiek nie mógł ukryć zdziwienia na widok Granta.

— Bardzo mi miło powitać pana u nas, Slattery — rzekł — nie sądziłem jednakże, aby mógł pan do nas zawitać w jakiejś oficjalnej misji. Myślałem, że już od dłuższego czasu usunął się pan zupełnie ze służby dyplomatycznej.

— Zostałem delegowany w specjalnym charakterze, mam tu odbyć konferencję z kilkoma osobistościami, głównie jednakże z lordem Yeovil. Wracam już do Ameryki w sobotę.

— Będziemy w takim razie towarzyszami podróży — zauważył Lymane. — Czy jednakże Ameryka pomieści taką świtę? — dodał z uśmiechem. — Przyjeżdżamy bowiem wszyscy, zabieramy nawet nasze stenotypistki.

— A czy lady Zuzanna... — zaczął Grant z wahaniem.

— Tak jest. Jedzie z nami.

— Mam nadzieję, że czuje się dobrze. Od dłuższego już czasu nic o niej nie słyszałem.

— Doskonale. Robiła już w tym sezonie wielkie przyjęcia dla ojca. Świetnie się w swych obowiązkach wywiązywała.

— Zaręczona już? — zapytał Grant ze źle udaną obojętnością.

— Nic oficjalnie o tem nie wiadomo — brzmiała ostrożna odpowiedź Artura. — Pali się do niej kilku świetnie urodzonych młodzieńców. Bobby Lancaster pozostał w tym wyścigu nieco w tyle. Ubiega się o jej rękę w tej chwili lord Glentarne, ale, jak mi wiadomo, zwrócono i łaskawe oko na nią w Buckingham Palace. Sądzę, że i pan niema dla mnie nowin matrymonjalnych, Slattery?

— Absolutnie.

W tej chwili usłyszał Grant odgłos dzwonka i po kilku minutach znalazł się naprzeciw człowieka, z którym, mimo różnicy wieku, łączyły go jeszcze przed kilku miesiącami tak zażyłe stosunki. Grant nie zdążył jeszcze zamknąć drzwi za sobą, a już zauważył znaczną zmianę w zachowaniu lorda Yeovila. Był coprawda bardzo uprzejmy, nawet prawie serdeczny, lecz nie trzeba było nawet spostrzegawczości Granta, by nie dojrzeć zmian w jego obejściu.

— Rad jestem znów widzieć pana, Slattery — odezwał się premjer na przywitanie. — Wydaje mi się w tej chwili, jakby już wiele czasu upłynęło od naszego pobytu na Rivierze, gdy rozwiązywaliśmy razem problemy bridżowe.

— Historja narzuciła nam teraz poważniejsze problemy, prawda mylordzie?

— Oczywiście. Sądzę, że tym razem pana wizyta ma charakter ściśle oficjalny?

— Tak jest, sir — odparł Grant. Rząd mego państwa wydelegował mnie do pana w pewnej misji. Czy mogę prosić pana, sir, o posłuchanie?

— Jestem do pańskiej dyspozycji. O siódmej przyjedzie po mnie moja maszyna.

Lord Yeovil wysłuchiwał Granta w skupieniu, przyczem oblicze jego nabierało coraz więcej powagi. Kiedy gość jego skończył już referowanie sprawy, premjer odezwał się po chwili namysłu:

— Przeczuwałem zawsze ten, a nie inny układ stosunków, lecz przyznać muszę, że nie przypuszczałem, że sprawy posunęły się już tak daleko. Nawet w tej chwili nie mogę jeszcze uświadomić sobie, w jaki sposób Japonja i Niemcy będą mogły wykonać swój plan.

— Staraliśmy się, sir, dotrzeć właśnie do realizacji ich planu i wynik naszych poszukiwań jest następujący: flota japońska, znacznie liczniejsza od naszej, zbliży się do naszych zachodnich wybrzeży w tym samym czasie, kiedy krążowniki niemieckie zaatakują nas od wschodu. Ponieważ nasz tonaż przewyższa absolutnie ilość, przepisaną przez Ligę Ograniczenia Zbrojeń, domyśla się więc jego lordowska mość, jakie grozi nam niebezpieczeństwo. Najgorszą w naszej sytuacji jest okoliczność, że wpływowa nasza prasa, zakupiona przez Blunna, bruździ nam w robocie, podżega cały kraj przeciw Anglji i dlatego przyjechałem prosić pana o interwencję, sir.

Lord Yeovil rozważył raz jeszcze sprawę, obiecał swój współudział w aktualnych sprawach prasowych i spojrzał na zegarek:

— Obawiam się, że narazie musimy odłożyć dalszy ciąg naszej dyskusji. Było mi nader miło spotkać pana u siebie, Slattery, jako oficjalnego delegata pańskiego rządu. Nikt nie byłby tu u mnie lepiej widziany od pana.

Grant skłonił się. Nagle, on, człowiek nieustraszony i silnej woli, poczuł jakiś lęk i obawę. Mimo to zdobył się na odwagę i zapytał:

— Obawiam się, sir, że utraciłem u pana to stanowisko, z którego byłem kiedyś tak dumny — stanowisko przyjaciela pańskiego domu?

Lord Yeovil zawahał się. Bezpośredniość gościa zbiła z tropu wytrawnego dyplomatę.

— Nie chciałbym twierdzić tego, Slattery. Jestem, oczywiście, człowiekiem doświadczonym i nie osądzam surowo niczyich czynów. Jeżeli pan zechce, pomówimy o tem innym razem.

Grant podniósł się z miejsca

— Urządzam dzisiaj pożegnalny wieczór w moim domu z okazji naszego wyjazdu do Ameryki. Będzie trochę dyplomacji. Jeżeli miałby pan ochotę nas odwiedzić, to poślę panu kartę. Czy pan zatrzymał się w ambasadzie?

— Nie, sir, w Claridge.

— Otrzyma pan kartę za godzinę.

Grant raz jeszcze zdobył się na odwagę:

— Czy będę miał przyjemność ujrzeć lady Zuzannę?

— Moja córka rozpoczęła już w tym sezonie swój debiut jako reprezentantka mego domu. Organizuje wszystkie przyjęcia. Będzie asystowała mi i dziś wieczór — brzmiała chłodna nieco odpowiedź lorda Yeovil.

Dawna serdeczność i zażyłość, która łączyła Granta z domem Yeovilów, zdała się minąć bezpowrotnie. Lord Yeovil stał się dla niego takim człowiekiem, jakim był w stosunku do większości ludzi — poprawnym, uprzejmym dyplomatą, światowym człowiekiem zamkniętym w sobie i ostrożnym, pełnym rezerwy. Jeżeli lord Yeovil zmienił się tak w stosunku do niego, to czegoż mógł oczekiwać od Zuzanny?

To też Grant popadł w pewne przygnębienie

Udał się do najwytworniejszej kwiaciarni, kupił najpiękniejsze róże, jakie były, i posłał je do willi Yeovilów. Powrócił znów do swej ambasady, gdzie konferował do godziny ósmej. Nie mógł pojąć różnicy atmosfery i nastrojów między jego ziomkami w ojczyźnie i tutaj. To, co w Ameryce wydawało się fantasmagorją, straszakiem pesymistów, było tu jasne i zrozumiałe. Tutaj zdawali sobie wszyscy sprawę z okoliczności, że świat stał się znowu wielką areną intryg i konspiracyj, uświadamiali sobie wszyscy, że za chwilę już rozsunie się kurtyna nad potężnym dramatem krwi i zbrodni.

ROZDZIAŁ XL.

Było już po wpół do dziesiątej, kiedy Grant w oficjalnym mundurze swej ambasady wstępował na górę po stopniach schodów, wiodących do salonów premjera. Ujrzał z daleka stojącą we drzwiach Zuzannę, czyniącą honory domu. Ogarnął go niepokój i wzruszenie. Wydawała mu się jakaś do-

stojniejsza, piękniejsza i pełna godności. Jednocześnie nie utraciła nic ze swej świeżości i młodocianego wdzięku. Miała na sobie białą, dworską suknię, w której prawodopodobnie odbyła swój debiut w pałacu buckinghamskim, włosy jej były gładko zaczesane, jak za czasów Riviery i nie miała żadnych klejnotów, oprócz prostej kolji niewielkich pereł. Z prostotą i swobodą witała poszczególne osoby dystyngowanego tłumu. Dla każdego miała jakieś uprzejme słowo i pełen radości uśmiech. Nie nadarmo rozpisywały się o niej kroniki towarzyskie, jako o najbardziej czarującej gospodyni sezonu. Obok niej stał lord Yeovil w galowym mundurze i wstędze orderów. Grant czekał jakiś czas, aż wreszcie nadeszła kolej i na niego. Tymczasem jeszcze Zuzanna witała jego ambasadora z małżonką i attache wojskowego, z którym wymieniła jakiś zręczny żart, tyczący ich ostatniej partji golfa. Uśmiechnęła się do Granta swobodnie i podała mu rękę:

— Witam pana w Londynie, panie Slattery — rzekła. Pan jest istotnie globetrotterem. Mam nadzieję, że przywiózł pan jakieś nowe problemy bridżowe dla ojca. Trzeba mu jakiegoś urozmaicenia, tak jest, biedaczek, umęczony grzmotami waszej prasy.

— Rad jestem widzieć pana, Slattery — dodał lord Yeovil. — Znajdzie pan Artura w pokoju na lewo. Jeżeli lubi pan tańczyć, to przedstawi panu kilka dobrych partnerek.

Grant udał się we wskazanym kierunku. Witał po drodze znajomych ,tańczył z kilkoma paniami. Nie opuszczało go jednakże uczucie przygnębienia. Miał niewątpliwą zupełnie świadomość przegranej. Los nastawił na niego jakąś zdradziecką pułapkę. Po upływie trzech kwadransy poczuł się już dziwnie zmęczony. Usiadł w fotelu i przeglądał obojętnie jakieś czasopisma, kiedy ujrzał w pewnem oddaleniu Artura Lymane w towarzystwie jakiegoś starszego pana w mundurze admirała. Szli prosto ku niemu.

— Admirał Sullivan chciałby zamienić z panem kilka słów, Slattery, oczywiście nieoficjalnie — rzekł Artur.

— Słyszałem o panu, admirale — rzekł Grant, wymieniając z nim uścisk dłoni — kiedyś w Tokio i w Archangielsku.

— Oczywiście, że nic pochlebnego, prawda? Cieszę się, że mam okazję porozmawiania z panem, ale oczywiście, usuniemy się stąd. Znam dobrze rozkład tego mieszkania.

Przeszli przez szereg reprezentacyjnych salonów, minęli pokój bilardowy i bridżowy, aż znaleźli się w zacisznym gabineciku, gdzie usiedli w kącie na dwuch nader wygodnych fotelach. Na małym stoliku, obok stołu, flaszka whisky, kilka butelek likierów i syfon wody sodowej.

— Tu są ulubione „mieszanki" Artura Lymane— objaśnił admirał. — Czy można pana poczęstować? Przy okazji muszę panu nadmienić, panie Slattery, że to ja wręczałem pańskie raporty z Berlina, Archangielska — rzekł, mrugając oczami.

— Mam nadzieję, że nie wyrzucił ich pan do kosza z papierami? — zagadnął Grant z uśmiechem.

— Wprost przeciwnie, ogromnie mnie interesowały. I chciałem właśnie porozmawiać z panem na tematy aktualnej polityki.

Po wymianie kilku zdań przekonał się Grant, że jego rozmówca jest całkowicie zorjentowany w burzy, nadciągającej nad światem. Udzielił mu chętnie swoich informacyj i zreferował mu obszernie stan nastrojów amerykańskich i akcji niemiecko-japońskiej na terenie Stanów Zjednoczonych.

Stary admirał uśmiechał się z sympatją, wreszcie rzekł:

— Niemiła jest ta robota konspiracyjna i najzupełniej rozumiem pana. Ale może pan być spokojny, panie Slattery. Rewelacje, poczynione na kongresie Ligi Rozbrojeń, rozbiją w puch robotę Blunna i jemu podobnych. Może pan liczyć i na naszą interwencję. Oczywiście, mówię to panu w tej chwili nieoficjalnie.

— Pan potrafi podnieść ducha, admirale — odparł Grant z wdzięcznością.

W tej chwili spojrzał admirał z uśmiechem w kierunku drzwi.

— Oto pojawia się młoda osoba, która w krótkim przeciągu czasu zdołała ujarzmić wszystkie męzkie serca. Lady Zuzanno, rozgościliśmy się tu, w gabinecie Artura i wypiliśmy jego whisky. Prosimy o łaskę i wybaczenie.

Zuzanna zaśmiała się.

— Za cóż pan mnie przeprasza? Wie pan dobrze, admirale, że jest tu pan wszędzie mile widziany. Wpadłam tu tylko na chwilę, aby przekonać się, czy niema tu jakichś uciekinierów z sali balowej. Mamy strasznie mało tancerzy. Panie Slattery, ojciec mój chciałby porozmawiać z panem, zanim pan wyjdzie.

— Jestem do jego usług — odparł Grant, podnosząc się z fotelu.

D. c. n.

Nieznani czworonożni mieszkańcy Czarnego Lądu

Minęły dawno czasy wielkich odkrywców. Nikt już nie wyjeżdża na morze, z najmniejszemi choćby szansami znalezienia nowego lądu. Nie dowodzi to bynajmniej, by wszystko na kuli ziemskiej było już znane i opisane. Są obszary, dość duże jeszcze, gdzie był już biały podróżnik, ale nie było jeszcze białego uczonego: zoologa i geologa. W tych więc dziedzinach wiedzy spodziewać się można i należy nowych zdobyczy naukowych. I wszystkie wyprawy, w mało znane europejczykom ziemie, noszą teraz charakter systematycznych badań terenu i tego, co się na nim znajduje. Przeważnie ekspedycja taka uważa sobie za zadanie sprawdzić na miejscu pogłoski o zwierzętach, ptakach czy owadach, mało nauce znanych, sklasyfikować je i o ile można — znaleźć nowe. Dotychczas żadna wyprawa naukowa nie wróciła pod tym względem z pustemi rękoma.

Do najmniej nauce znanych obszarów należy centralna Afryka, której nieprzebyte dżungle i moczary kryją napewno niejedną tajemnicę. Naszem zadaniem będzie dać zwięzłą odpowiedź, jakie możliwości niespodzianek zoologicznych stoją jeszcze przed przyszłemi wyprawami w puszcze dziewicze środkowej Afryki. Niektórzy bowiem myśliwcy i badacze tego lądu twierdzą, że pewne, ze słyszenia im znane gatunki zwierząt, oczekują na swoich odkrywców.

O istnieniu ich dowiadywali się od murzynów-tubylców, którzy służyli białym poszukiwaczom za przewodników. Naturalnie, że doświadczeńsi podróżnicy przyjmują z wielką rezerwą informacje czarnych. Murzyni bowiem zawsze starają się przypodobać białemu, spodziewając się nagrody i wyprzedzają każdą myśl badacza, na wszystkie pytania odpowiadając twierdząco. Gdyby np. zapytano wprost czarnego myśliwego, czy to prawda, że w jego rodzinnej okolicy mieszka gatunek lwa o sześciu ogonach, wielkości żyrafy, nietylko nie zaprzeczyłby, ale dołożyłby temu lwu jeszcze ze dwie głowy. Podróżnicy więc, których hipotezy podajemy, wyciągali informacje drogą okrężną, pytając o wszystko, tylko nie o to, o co im naprawdę chodziło. Niemniej jednak z całem przekonaniem twierdzą, że pewne gatunki drapieżców i nawet wielkich zwierząt, w rodzaju słoni i hipopotamów, nie są jeszcze znane.

Tak np. pewien zasłużony i poważny podróżnik niemiecki przedsięwziął dwie wyprawy, które miały na celu odnaleźć i opisać niezany nauce gatunek karłowatych hipopotamów i słoni. Nie udało mu się to o tyle, że słonie takie, zwane w narzeczu miejscowem „sumbi", widział w dorzeczu Kongo, nie zdołał jednak schwycić żywego okazu.

Stepy afrykańskie nie kryją już tajemnic dla zoologów. W dżunglach jednak należy spodziewać się rewelacyj. Tenże podróżnik, polując na hipopotamy w jeziorze Banywedo, zauważył, że na zachodniem wybrzeżu jest cała masa tych zwierząt, podczas gdy na wschodniem trafiają się tylko pojedyńcze okazy i to wyjątkowo płochliwe. Badając przyczynę tego, dowiedział się od swego służącego z tamtych stron, którego zresztą oduczył blagi, że hipopotamy ze wschodniego wybrzeża wielkiego tego jeziora są tępione przez jakieś zwierzę, mieszkające w jeziorze. Opisać go murzyn nie potrafił, przyciśnięty jednak do muru, uparcie przy swojem obstawał. A ponieważ i inni czarni, najbardziej sprytnie badani, potwierdzali informacje swego ziomka, biały myśliwiec jest przekonany, że w jeziorze Bangweolo, a może i w innych jeszcze, żyje drapieżnik wodny, bynajmniej nie krokodyl, niszczący nawet hipopotamy, krokodyle bowiem nie są dla tych olbrzymów groźne.

Innym razem wpadł on na ślad „okapi", wodnego słonia, nieznanego nauce. Mianowicie znalazł strzęp skóry w głębokiej dżungli bagnistej; strzęp należał niechybnie do zwierzęcia gruboskórnego, był pokryty ciemnorudą sierścią i absolutnie nie mógł należeć do żadnego znanego zoologji mieszkańca dżungli afrykańskiej. O „okapi" słyszał on także wszędzie prawie od mieszkańców pobrzeży bagnistych puszcz, od granic Kamerunu do okolic jeziora Leopolda w Kongo. Inni podróżnicy również twierdzą z całą pewnością, że w bagnach niezmierzonych dżungli dorzecza Kongo, żyje nieodkryty dotąd gatunek wymierających zapewne słoni wodnych, mających już swą zoologiczną nazwę i oczekujących odkrywcy. Jedno jest pewne: że nie są one identyczne, ani podobne do znanych dobrze słoni karłowatych z gatunku pumilio. O gatunku słoni, podobnych do „okapi", daje się słyszeć i w okolicach górnego biegu rzeki Cavalla w Liberji. Tam również udało się wyżej wymienionemu podróżnikowi zabić, sfotografować i wciągnąć do zoologji pierwszego karłowatego hipopotama. Słyszał on również od najodważniejszych miejscowych myśliwych, że w dżungli górnej Liberji żyją wyjątkowo krwiożercze, rzadkie drapieżniki, zwane „tu". Mają one posiadać czarne futro i według opisów stanowią coś pośredniego między lampartem, a lwem. Za tem, że w Liberji łatwiej, niż gdzieindziej, należy spodziewać się spotkania nieznanych zwierząt, przemawia fakt, że mieszkańcy państwa tego, murzyni, nie zapuszczają się w celach myśliwskich, czy eksploatacyjnych we własne dżungle, a o ekspedycjach naukowych niema mowy. Zwierzęta, niepłoszone przez człowieka, winny tu być częstsze. Możliwem też jest, że w mało znanych puszczach Liberji, Togo i Senegalu żyją i czekają na odkrycie wodne lamparty, o których słyszano niejednokrotnie, a na granicach Sahary ma podobne żyć również niezmiernie płochliwa hiena, przerastająca wielkością znane doskonale hieny pręgowate i centkowane, przeszło o połowę.

Poszukiwacze tych i innych hipotetycznych zwierząt kierują się w pracy swej zarówno żyłką myśliwską, jak i ambicją naukową. I oto jednemu z nich, Janowi Schomburgkowi, zdarzył się ciekawy i przykry dla niego traf. Oto w pewnej okolicy widział zbliska malutkie, absolutnie nieznane nauce, rude stworzonka, podobne do myszy. Pozwoliły one podejść się bardzo blisko i podróżnik ten zauważył u nich wiele ciekawych cech w budowie ciała, sposobie poruszania się i jest pewny, że natrafił na nieznany gatunek zwierzątek, stojących w klasyfikacji naukowej na pograniczu jaszczurek i gryzoniów. Ale, niestety, uzbrojony tylko w strzelbę, nie mógł, mimo najgorętszych usiłowań, zabić, a tembardziej schwycić żywcem żadnego z nich, a kiedy nazajutrz wrócił na to miejsce, już ich nie było i nigdy więcej już ich nie spotkał. Uważa to sobie za największą przykrość, jaka go spotkała w życiu.

E. S.

WIKTOR PRZECŁAWSKI



X.

16.

Tak zwana bowiem „powszechność" stolicy, żywiąca się skąpemi wiadomościami pilnie cenzurowanych gazet i niepewną, choć stugębną, famą nic o spisku nie wiedziała i rewolucyjnych nastrojów własnych z wszelką pewnością nie rozważała. Działała tu raczej żywa jeszcze tradycja, — tradycja wielkanocnego zwycięstwa z czasów kościuszkowskich, — okropne wspomnienie rzezi Suworowa, — i zupełnie już niedawny rok 1812. Kto szedł ramię w ramię z Moskalem — ten w oczach warszawskiego ludu był tylko zdrajcą, — Bóg Polskę nie Moskalom powierzył, — walka z Moskalem była zawsze świętą sprawą ludu, — kto więc do niej nawołuje, ma zasadniczą słuszność, jest prawy człek i basta! Ten oto podstawowy, ogólny nastrój, niewątpliwie istniał, i on przedewszystkiem umożliwił powodzenie listopadowego zamachu.

Bo — pozatem — walorów powodzenia, niestety, nie było. Dumna, wspaniała młodzież, — młodzież bezwzględnie czysta i ideowa, zdająca sobie sprawę z ideowego znaczenia swego czynu, praktycznie jednak go nie przygotowała i następstw nie przewidziała, ani nie obmyśliła. Przedewszystkiem nie miała w swych szeregach odpowiednio doświadczonych, energicznych i jednocześnie popularnych ludzi, którzyby mogli ująć w swe ręce kierownictwo akcji, na czele tego narodu stanąć, wiarę w zwycięstwo umocnić i rozpalić — i z narodem zwyciężyć. Takich ludzi spisek młodzieży nie posiadał. Ale ta młodzież wierzyła w „wodzów narodu", i nie jej jest winą, że ani Chłopicki, ani Skrzynecki nie wierzyli w zwycięstwo nad wrogiem. „Belwederczycy" nie przypuszczali, że naród będzie samotny. Ich gra, — gra szalona, bo ostateczna gra na jedną kartę, — była oparta na bezwzględnej ufności w atut wspaniały, którym miała być niezwalczona jedność narodowa Na czele tej potężnej jedności widzieli oczyma swych marzeń doświadczonych mężów narodu, doświadczonych i mężnych wodzów, mających do rozporządzenia najlepszą w Europie armję, zasobny skarb i wszystkich. W pojęciu rewolucjonistów gra była prosta. Zwycięstwo, które da wszystko, — klęska, która zniszczy wszystko. Kompromisu nie uznawali. Tymczasem już w pierwszych dniach grudnia kompromis panował w Warszawie. Zapału nie zgasił, ale gromy rewolucji stępił. Tchórzliwy, chwiejny, niepewny siebie kompromis skrzywił i wypaczył całą linję powstania. Nie polityczny romantyzm jest tu winien, lecz właśnie ten kompromis. On to sprawił, że rewolucja nie stała się rewolucją zwycięską, że naród pozostał samotny, i że nie wykorzystano nawet połowy, nawet małej cząści możliwości. Niewiara rządów i niewiara wodzów zabiła w zarodku możliwość zwycięstwa.

A przecież powstanie było poprostu dziejową koniecznością! Czyż nie rozumieli tego wodzowie narodu? Generał Ignacy Prądzyński pisze: „Chcąc się zastanowić nad dalszemi wypadkami historji polskiej, a mianowicie nad powstaniem roku 1830-31, należy zwrócić uwagę na stan, w jakim pozostawił kongres wiedeński ten nieszczęśliwy kraj i naród. Zagraniczni pisarze, już to z niechęci, już z grubej niewiadomości rzeczy polskiej, udają, jakgdyby wierzyli, że tak nazwane królestwo, które Mochnacki nazwał „Polską kongresową", całą Polskę stanowiło. Tymczasem ten dziwaczny utwór fantazji rosyjskiego samowładcy, był tylko małą cząstką potężnego kraju. Polska zaś, potrzebująca przedewszystkiem całości i bytu, była więcej jak kiedykolwiek rozdrobnioną. Przyszłe jej powstanie zatem nie zależało od formy rządu mniej lub więcej liberalnej, nadanej jednej cząstce Polski, nie od wykonywania mniej lub więcej konstytucji, nie od szału księcia Konstantego, nie od chytrych, a złośliwych zabiegów Nowosilcewa; ale to powstanie leżało w samym stanie potwornym, upokarzającym, w jakim kongres wiedeński, a mianowicie Aleksander, Polskę postawił; utwór tak nazwanego królestwa z jednego odłamku tej Polski, którą Aleksander mógł dowolnie rozrządzać, nadanie mu zwłaszcza garstki narodowego wojska, było gorzką ironją, przy której w żaden sposób całej swej przeszłości zapomnieć nie mógł. To ciągłe straszenie losem gubernij, a robienie nadziei połączenia z królestwem tychże gubernij — było niegodne stosunków, jakie powinny zachodzić między narodem a królem. Był to bakałarz, co dzieci nęci obietnicą cacek i rekreacji, jeżeli będą grzeczne, a grozi im dyscypliną w przeciwnym razie. Danie Polakom broni do rąk w takim tylko stosunku, ażeby monarcha rosyjski nie był przymuszony szanować ich dla samej ich mocy, było ponętą, co musiała Polaków przyprowadzić do rozpaczy i do nierozważnych wyskoków. Pierwszym więc sprawcą powstania w roku 1830 był niewątpliwie sam cesarz Aleksander, który, uganiając się chytrze za sławą, przysiągł, że powetuje krzywdy narodowi polskiemu, przez babkę wyrządzone; głębszą tylko przepaść dla niego wykopał". I dalej: „...edukacja polityczna całego narodu od Warty aż do Dźwiny i Dniepru — była wykończoną. Wszystko czuło potrzebę wydźwignięcia się z upodlenia. Dość długi pokój dozwolił krajowi podnieść się i przyjść do sił. Trzydzieści tysięcy wybornego wojska, opatrzonego w wszelkie zasoby do prowadzenia wojny, było wybornym zawiązkiem do rozwinięcia sił narodowych. Korpus litewski w swojem dwuznacznem stanowisku mógł być łatwo sparaliżowany, rozprężony, jeśli nie całkiem dla sprawy polskiej pozyskany. Głupie a zawzięte postępowanie rosyjskiego rządu dotknęło całą Polskę, upokorzyło cały naród w pierwszej jego magistraturze, w senacie, i usposobiło go do powstania, które zdeterminowało hasło, wydane w Paryżu powstaniem lipcowem".

To wszystko prawda. Naród był gotowy. A jeśli idzie już koniecznie o słynny polski romantyzm polityczny, jakoby zawsze liczący na obce sympatje i pomoc obcych narodów, to ten romantyzm był w r. 1830 usprawiedliwiony, lecz możliwości również nie były wyzyskane.

Rozpatrzmy zresztą wszystko po kolei. Zanim bowiem zajmiemy się szczegółowo dziejami walki, która do dziś jeszcze za szaloną uchodzi, musimy się zapoznać z jej tłem ogólnem i warunkami, abyśmy powody przegranej należycie ocenić mogli.

Ważnym jest przedewszystkiem nastrój ogólny, od poparcia bowiem ogółu zbyt wiele zależy. Stwierdzić więc należy, że lud warszawski przyjął wybuch z nieopisanym entuzjazmem. Rzecz jasna, że lud prosty nie bardzo orjentował się w sprawach konstytucji, budzących gniew i żądzę walki w sferach inteligencji, lecz lud ten prosty nienawidził ciemiężców i doskonale odczuwał utratę niepodległości. Biały orzeł, który miał znowu ozdobić ratuszową wieżę stołeczną, budził wszędzie i u wszystkich imponującą radość i zgodę. Przy budowie okopów, które będzie Warszawa dźwigać wokół swych murów, znajdziemy obok żołnierzy i mężczyzn, kobiety, starców, dzieci, księży i żydów, pracujących dobrowolnie i ofiarnie z pieśnią bojową na ustach. Redakcje gazet przyjmować będą nieprzeliczone wprost dary w postaci pieniędzy, klejnotów, sukna, broni i t. d. Kraj cały, jak jeden mąż, starać się będzie o postawienie 100.000 armji, sama Warszawa utworzy pułki piechoty i konnicy „dzieci Warszawy". Lecz, niestety, wysiłki narodu będą samotne. Wodzowie nie uwierzą w zwycięstwo. Niemal wszyscy, którzy w rządach wybitną odegrają rolę, będą się starali o likwidację wojny, po pierwsze wierząc w zwycięstwo Rosji, po drugie bojąc się skutków rewolucji.

(C. d. n.).

Co wyrabiają „stocznie" murzyńskie?

Anglja posiada wybrzeża dość dostępne, ale nie rozczłonkowane, nic więc dziwnego, że brak wysepek i półwyspów nie sprzyja żegludze przybrzeżnej i odwieczni mieszkańcy czarnego lądu nie są rasą odkrywców i żeglarzy. O całe niebo przewyższają murzynów malajczycy z wysp Polinezji i pod względem jakości środków komunikacji wodnej i ich pomysłowości. Dlatego właśnie ciekawe są prymitywne łodzie i tratwy murzyńskie, jako dokumenty par excellence początków zmagania się człowieka z płynnym żywiołem. Afryka obfituje w wielkie jeziora i szerokie rzeki, które przecież jakoś przebyć trzeba w poszukiwaniu nowych siedzib, żywności, czy w pogoni za wrogiem. Każde więc plemię nadwodne buduje sobie środki lokomocji wodnej, od najprostszych począwszy, a skończywszy na takich, które wymagają całych miesięcy pracy, wykonywanej nieraz przez wszystkich mężczyzn osiedla. Niezdarność jednak murzynów w tej dziedzinie jest zdumiewająca.

Kiedy człowiek pierwotny nauczył się pływać — nie wiadomo. Należy przypuszczać, że zdolność tą ma wrodzoną narówni ze zwierzętami. Ale najgłupszy nawet dzikus zdoła zauważyć, że poruszanie się w wodzie ułatwia wykorzystanie materjałów lżejszych od niej i nietonących, przedewszystkiem trzciny i drzewa. Do dziś więc u niektórych szczepów, mieszkających nad jeziorem Czad, pojedyńczy człowiek, wyruszający na wodę, siada okrakiem na kawałku wyschłego pnia, lub na wiązce sitowia — i to mu wystarcza. Ponieważ jednak pewien gatunek drzewa, zwanego „ambacz", odznacza się po wyschnięciu specjalną nośnością i lekkością, zdarza się, że czarny rybak lub myśliwy „łódź" swoją nosi pod pachą na lądzie, bez trudu. I tylko dzięki temu wymarzonemu materjałowi zdobyli się niektórzy leniwi z gruntu murzyni na budowanie tratew, na których mógłby np. papa z rodziną pojechać na spacer, lub kilku mężów oddalić się na parę godzin od swarliwych małżonek.

Tratwy takie, nawet do celów myśliwskich, czy rybackich przystosowane, składają się z kilkunastu pniaków drzewa „ambacz", powiązanych łykiem i usiłujących przypominać kształtem łódź. O żaglach, czy sterze niema mowy. Wiosła zastępują ciężkie, niezgrabne drewna, pośrednie między deską a łopatą. I to wszystko.



Rybacka „jedynka" z Sierra Leone

Natomiast plemiona murzyńskie, które zamieszkują okolice jezior i rzek, nad któremi nie rośnie „ambacz", z konieczności wykazują większą pomysłowość i pracowitość w dziedzinie budowy swych prymitywnych statków. Punktem wyjścia, jak wszędzie na świecie, jest tu wydrążony pień drzewa. Łodzie tego typu, choć nieraz najstaranniej wykonane, mają jednak wielką wadę: wywrotność. Aby jej zapobiec, chwycono się różnych środków. Pierwszem udoskonaleniem są pływaki, używane przeważnie przez plemiona nadmorskie. Na dwóch drągach poprzecznych, przymocowanych niedaleko dzioba i tyłu łodzi, zwieszają się na poziomie wody dwie deski lekkie, które łódź w praktyce poszerzają i pomagają doskonale utrzymać w równowadze. Ale powodują one trudność w sterowaniu czółnem. Drugim więc sposobem budowania statków jest opieranie ich konstrukcji na mocnym i ciężkim kilu, który utrzymuje równowagę swym ciężarem. Ale tu już trzeba dorabiać burty. Jedni murzyni robią to gorzej, inni lepiej. Przy zastosowaniu zaś dostępnych negrom udogodnień, otrzymują niektórzy z nich duże i mocne „kanu", która mieści nieraz po kilkadziesiąt osób. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że użycie piły jest murzynom zupełnie obce, zrozumiemy, ile trudu wymaga wydłubanie, czy wypalenie olbrzymiego pnia i umocowanie do jego niezgrabnych boków desek, stanowiących burty, oraz spojenie ich. Niema też łodzi tego typu, którąby w większym lub mniejszym stopniu nie przepuszczała wody. Ale może i słusznie armator, którym jest przeważnie cała wioska, albo plemię, chlubi się z dzieła własnej „techniki". „Kanu" takie spotyka się najczęściej w dorzeczu Kongo. Ostatnim wreszcie typem łodzi murzyńskich jest „model" z nad jeziora Mozambik. Płaski kil jest podstawą, do której przymocowuje się wypukłe burty, dorabia się dziób i rudel, oplata się wszystko wikliną, albo jeszcze lepiej — obszywa skórą. Łódź taka jest zwykle kilkuosobowa i posiada ławki, ale choć z kształtu najbardziej przypomina łodzie europejskie, wywołuje w każdym białym wybuchy szczerego śmiechu. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej niezdarnego i tak



Ciężka łódź, kilkuwiosłowa, plemion z okolic Viktorja-Nyansa

beznadziejnie pracowicie wykonanego. A jednak łodzie takie występują nieraz w roli okrętów wojennych i z tego tytułu dziób, większy niż zwykle, zostaje pomalowany i ozdobiony różnemi straszydłami. Rzadko tylko trafiają się artyści-budowniczowie, wykonywujący łódki jedynie dla siebie — naprawdę lekkie, zwrotne i ładne. Ale i wtedy jeździć niemi umie tylko sam właściciel. Stanowczo nie są murzyni afrykańscy przyszłymi konstruktorami pancerników i łodzi podwodnych.

E. S.

Wśród książek

Jerzy Bandrowski. — Wieś mojej matki. — Opowieść. — Nakład księgarni św. Wojciecha. — Poznań—Warszawa—Wilno—Lublin. Str. 192 8 ulb. 4 ulb.

Znany zaszczytnie autor nieprzeciętnych powieści (właśnie tego rodzaju powieści, które są u nas bardzo potrzebne, a których, niestety, coraz mniej się ukazuje), którego zainteresowania są i szerokie, i zajmujące, sięgnął tym razem do skarbnicy najpiękniejszych i najdroższych wspomnień, do przeczystej skarbnicy dzieciństwa. Zdrowe to źródło, niczem nie zatarte i poprostu czarodziejskie, i szczęśliwy ten artysta, który umie z niego korzystać. Tworzy bowiem wtedy, jeśli tak powiedzieć można bez udziału wszędobylskiej intrygi życiowej, i daje dzieło, które jest tak czyste jak właśnie to źródło, z którego powstało. Bandrowski takie dzieło niewątpliwie stworzył. Zupełna prostota — szczera, ujmująca, w niczem niewymuszona — oto główna cecha tej rzadkiej opowieści. To nie najwspanialsza choćby kompozycja literacka, to nie choćby najbardziej umiejętne naginanie życia i rzeczywistości do najdumniejszych choćby literacko-artystycznych celów, — nie, — jest to tylko prawda, — prawda przeminięta, — a ożywiona w dziele sztuki czarem serca i czarem najczystszych wspomnień.

A geneza dzieła?

Autor pisze: „...gdy wniknę w nędzę moralną naszych, tak pysznych i pełnych dumy czasów, gdy przypomnę sobie, ile w tych właśnie czasach napatrzyłem się nikczemności ludzkiej, ile widziałem męki, wszelkiego cierpienia i okrucieństwa, powiem stanowczo, że człowiek dzisiejszy lepszym nie jest.

I dlatego, sądzę, warto sięgnąć myślą wstecz, do owych czasów, a zwłaszcza do ludzi, których już niema, aby przypomnieć sobie, czemu oni zawdzięczali czystość swego sumienia i spokój oraz ciszę swych serc".

Książka ta jest nietylko piękna — ma ona w sobie najwyższe wartości ludzkie: serce i sumienie.

Wiktor Przecławski.

TO, TAMTO I OWO



Ciekawy obchód jubileuszowy w Stoke-on-Trent, podczas którego na cześć słynnej ceramiki Wedgwooda przystrojono dziewczęki na wzór wazonów Portland.

MASOWE RZEZIE... MOTYLI.

W Niemczech wyginęły już oddawna niektóre gatunki piękniejszych motyli, żyjących tam dawniej w dużej ilości. Tak np. widywany dość często w Alpach Apollo z czarnemi plamami i czerwonemi lusterkami na końcach skrzydeł, znikł już całkowicie ze Śląska niemieckiego, doliny Saali, Mozeli, Wogezów i Frankonji. Piękny mały motylek Cletis maculosa zginął zupełnie w południowych Niemczech oraz w okolicach Wiednia.

Przyczyną tego zaniku są, oczywiście, zbieracze motyli, szczególnie ci, którzy nie własnoręcznie zdobywają swe okazy, lecz nabywają je od handlarzy wzmagając w ten sposób popyt na ów „towar". Wspomniane wyżej motyle kazali handlarze systematycznie, co rok wyłapywać. W samej tylko okolicy Weidbruck'u łapie się rocznie od 5000 — 10000 sztuk Apolla, to samo dzieje się i z drugim motylem.

Wszystkie zakazy pomagają bardzo mało, albowiem tereny łowów znajdują się zazwyczaj zdala od miejsc uczęszczanych. Od biedy możnaby jeszcze zauważyć „łowców" z siatkami, jeśli jednak chodzi o zbierających gąsienice, to już wszelka kontrola jest niemożliwa.

Nieskończenie więcej od handlarzy pracujących dla kolekcjonerów niszczą wszystkie gatunki barwnych motyli zakłady zdobnicze i galanteryjne. Używają one *skrzydełek motyli*, ozdabiając niemi podstawki do szklanek oraz kufli, tacki, popielniczki, papierośnice, pudełka do papierosów, lustra i puderniczki. Jeśli na mały przedmiot zużywa się wiele tuzinów motyli, to łatwo sobie wyobrazić, jak olbrzymie ilości pochłania wyrób szlaków tapetowych, sprzedawanych przecież *na metry*.

O wartości artystycznej tej *sztuki* motylej nie warto chyba mówić, są to zazwyczaj ohydy, pozbawione wszelkiego smaku.

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ JERZY RADLICZ

Na plaży

Podczas samej kąpieli krawcy nie mają wiele do powiedzenia. Stwierdzono po raz nie wiem który, że w wodzie niema jak trykot. I to trykot możliwie mało fantazyjny. Najlepiej wygląda, gdy jest czarny, albo granatowy. Ostatecznie przy bardzo młodej i smukłej sylwetce może być pąsowy lub chabrowy. Ale niech będzie możliwie gładki, bez zbytecznych wypusteczek i aplikacyjek, które mają go zdobić, a tylko szpecą. Dobrze wygląda pasek z białej gumy, może wreszcie być symulacja wąziutkiej i gładziuchnej spódniczki na biodrach. Ale już więcej nic. Aha, jeszcze mogą być gumowe pantofelki i czepek kąpielowy w jakimś żywym, intensywnym kolorze. To już wszystko.









Messieurs les grand faiseurs, zniecierpliwieni oburzającym faktem, że sprawa kostjumu kąpielowego obywa się bez ich czynnej interwencji, spróbcwali lansować suknie kąpielowe, strojne jedwabne sukienki, w których się wchodziło do wody. Próba zawiodła sromotnie. Pomysłowe sukienki okazały się w wodzie arcyniepraktyczne, całkiem nieestetyczne i zgoła obrażające moralność. Bo trykot, to trykot, niema z nim żadnych niespodzianek. Ale taki mokry jedwab, to nigdy nie wiadomo, jak się opnie i gdzie wlezie.

Po nieudanej próbie lansowania kąpielowych sukienek, została tylko karykatura w jednem z paryskich pism humorystycznych.

— Cóż to za wspaniała toaleta wieczorowa, wnusiu? A jaka przyzowita, jak mało dekoltowana!...

— Ależ, babciu! To mój nowy kostjum kąpielowy!

Nie mając nic do roboty w wodzie, panowie krawcy powetowali to sobie na plaży. Przedewszystkiem udzielono dymisji ciężkim, długim, niezgrabnie szlafrokowatym płaszczom kąpielowym. Dzisiaj nikt się przecież nie wyciera, tylko właśnie suszy się na słońcu, bo tak można się najlepiej opalić. A jeżeli jest chłodny wiatr, lub zbyt palące słońce, można zarzucić taki sobie luźny żakiecik do kolan, lub jeszcze krótszy. Opalone nogi sportsmenki powinny być zahartowane i nie obawiać się ani słońca, ani wiatru, ani deszczu, ani niczego wogóle. Taki żakiecik jest najczęściej poprostu częścią pyjamy. O, bo pyjama to dopiero strój par excellence plażowy. Składa się z dwóch lub trzech części, które się dają wkładać lub wsuwać bez szkody dla efektu całości. A więc długie spodnie ,obcisłe na biodrach, a bardzo szerokie w dole, można wkładać poprostu na trykot kąpielowy. Można też włożyć jasną bluzę, z rękawami lub bez, bluzę wsuwaną pod pasek spodni. No i jeszcze luźny żakiet dowolnej długości. Może on być w kolorze spodni lub całkiem odmiennym.

Na głowę cienisty kapelusz z rafji, pikowowego płótna, lub materjału, z którego zrobiona jest pyjama. Może też być beret basque lub „polo". A jeżeli niema kapelusza, to barwna, kretonowa parasolka.

Pyjama jest strojem, w którym na plaży elegancka pani może chodzić od rana do wieczora. Dopiero w nocy zmienia się ją na olśniewającą balową toaletę.

Well.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. wraz z przesyłką Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35.
Telefony 525-85 i 99-03. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty, są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-46.